



adeste[†]

Miesięcznik młodych katolików

NR 17 | LUTY 2019

ISSN 2544-7424

Męskość, kobiecość, czy wymyślone wzorce?

www.adeste.eu

Adres do korespondencji:

Łąpiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:

Bartłomiej Jan Wojnarowski

Zastępca Redaktora Naczelnego ds. harmonogramów i planowania:

Laura Korzeniowska

Redaguje zespół w składzie:

Krzysztof Działlik (sekretarz redakcji), Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięcznika), Konrad Myszkowski (koordynator portalu adeste.eu), Piotr Władysław Sudoł (sekretarz portalu), Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Jan Buczyński, Michał Gójski, Ks. Mateusz Kopa, Szymon Kozieja, Piotr Ulrich

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Jan Borowski, Mikołaj Durka, Wojciech Gałek, Marcei Hejwowski, Piotr Krajski, Dorota Ślęczek, Tymoteusz Pyda, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Olga Wachowicz, Bartłomiej Witeszcza

Projekt okładki, grafiki promocyjne:

Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniu pdf:

Tomasz Łukasik, Maria Ulman

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub oraz główny webmaster adeste.eu:

Maciej Andrzej Laskowski

Graficy:

Emilia Witkowska i Joanna Miśkiewicz

Rysownik/Art Designer: Zofia Bryłka

Dział korekty:

Patrycja Sowińska (szef działu korekty), Kinga Grodzka (p.o. szefa korekty), Dorota Białecka, Michał Przekwas, Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdalena Węglarz, Mikołaj Wolanin, Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji Norbert Bryłka, Zofia Bryłka, Tomasz Leszczyński, Aleksandra Liszka, Tomasz Łukasik, Szymon Stempkowski, Piotr Władysław Sudoł.

Konsultacja teologiczna:

Katatrzyzna Mich i Michał Ryłko

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła. +AMDG!+

Ilustracja:
Zofia Bryłka

Spis treści

FELIETON

- Łobuz kocha najmocniej i inne głupoty**
Marceli Hejwowski 4

WIARA

- Dlaczego Jezus nie był kobietą?**
Jan Borowski 7

- Między sprzątaczką a kapłanką – jakie jest miejsce kobiety w Kościele?**
Jan Buczyński 9

- Teologia jako spotkanie człowieka z Bogiem**
Patryk Kępczyński 16

- Św. Jan od Krzyża – czy warto? (cz. 2)**
Piotr Sudoł 18

SPOŁECZEŃSTWO

- Złodzieje relacji pomiędzy mężczyzną a kobietą**
Dorota Ślęczek 21

- O powszechnej służbie wojskowej**
Antonio Akmadża 26

- Nauka moralna Chrystusa głupstwem czy Bożą mądrością dla świata?**
Bartosz Kurkowski 34

KULTURA

- Rewolucja Meiji i katolicyzm japoński do II wojny światowej**
Marceli Hejwowski 38

- Matka Boga wzorem kobiecości**
Olga Wachowicz 41



Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika „Adeste”!

Na temat męskości i kobiecości napisano tomy ksiąg, mądrych rozpraw, lepszych bądź gorszych artykułów. Od zarania dziejów ludzie postrzegali siebie przede wszystkim ze względu na płeć oraz rolę, jakie pełnią w społeczeństwie. Mówiliśmy i jeszcze często mówimy o męskich i kobiecych sprawach, zawodach czy obowiązkach. Wielu, walcząc z prawdziwą bądź wymagowaną dyskryminacją, oskarża ludzi, organizacje, a nawet całe społeczeństwa o seksizm i gorsze traktowanie ze względu na płeć.

W tym kontekście widzimy, że nasza męskość i kobiecość jest ważna nie tylko jako rola społeczna, ale również jako coś bardzo ściśle przynależącego każdemu człowiekowi. Jesteśmy mężczyznami bądź kobietami – z własnymi marzeniami, powołaniem i celem w życiu.

Temat męskości i kobiecości jest kluczowy dla młodych, którzy przechodzą przez kolejne etapy dojrzewania seksualnego, społecznego, duchowego i zadają sobie pytanie o własną tożsamość. Zagadnienia własnej tożsamości są ważne tym bardziej dla młodych katolików, którzy swoje życie chcą budować na wierności Chrystusowi.

Dlatego w 17. numerze miesięcznika „Adeste” pochylimy się właśnie nad tematem męskości i kobiecości. Czy Bóg ma nam coś w tej kwestii do powiedzenia? Czy istnieje idealna męskość i kobiecość? A może „prawdziwy” mężczyzna i kobieta to tylko jakieś wymyślone wzorce? Gdzie szukać inspiracji? Na te pytania postaramy się odpowiedzieć w najnowszym numerze miesięcznika „Adeste”. Nie zabraknie artykułów historycznych, felietonów czy refleksji nad rolą mężczyzny i kobiety w Piśmie Świętym.



Z modlitwą +
Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika Adeste



źródło:unsplash.com

Łobuz kocha najmocniej i inne głupoty



Marcei Hejwowski

Polacy pracują bardzo dużo – tak wynika ze statystyk. W 2016 roku przeciętnie 1928 godzin pracy dało nam 4. miejsce w światowej czołówce. Często bezsensownie. „Pomyślcie, ile roboczogodzin, w skali całego kraju, idzie na upominanie się o przelew” – powiedział (a właściwie wykrzyczał) kiedyś Krzysztof Gonciarz w programie komediowym *Zapytaj beczkę*. Nie o ekonomii jednak chciałem napisać, ale o jej skutku.

Rodzicom brakuje czasu dla swoich dzieci. One z kolei, jako że natura nie znosi próżni, niedostatek obecności opiekunów rekompensują sobie, czerpiąc wzorce z otoczenia i kultury. Nie ma w tym nic dziwnego, samo to zjawisko pozostaje raczej czymś neutralnym. „Człowiek jest tym, co je”, jak to wyraził Ludwig Feu-

erbach, a dzieci czy nastolatki, które mają jeszcze nieuksztaltowane charaktery, będą formować się w zależności od pożywienia, którego im się dostarczy. Pytanie, czy młodzież karmi się wartościami, czy bezwartościową papką.

W tytule przytoczyłem powiedzenie (czasem występują-

ce w innej wersji), które wyraża przekonanie dziewczyn, że bad boy będzie czasem niesympatyczny czy niemiły, czasem zostawi, ale zawsze wróci, co będzie romantyczne. Przekonanie to wielu dziewczynom zafundowało mnóstwo traum i bolesnych przeżyć. Wzięło się ono z filmów oraz książek (bynaj-



mniej nie chodzi mi tu o *Wichrowe Wzgórza* pióra Emily Jane Brontë ani o samego Heathcliffa, jednego z pierwszych bad boyów w literaturze).

Tym, co często przysparza dziewczynom kompleksów oraz innych psychicznych problemów, jest obraz kobiety wszechstronnie uzdolnionej i spełnionej. Zwykle to kobieta wykształcona, znająca się na wszystkim, robiąca karierę, prowadząca intensywne życie towarzyskie, spełniona w życiu prywatnym. Tymczasem w życiu nie da się robić wszystkiego naraz – jest to fizycznie niemożliwe. Często kompleksy podsycają tak zwane „dobre szkoły”, które zarzucają uczniów olbrzymią

ilością nauki i pracy domowej. Istnieje również obraz kobiety erotycznej; kobiety, która musi prowadzić bujne życie seksualne. Ciekawe w tym kontekście jest to, że często żeńskie postaci w baśniach Disneya przedstawia się w negliżu. Erotyzacja od dziecka? Muszę przyznać, że nie wiem, co o tym sądzić.

Inaczej wygląda sytuacja w przypadku chłopców. Jak wiadomo, jedną z cech edukacji na poziomie podstawowym jest znacząca przewaga nauczyciela. Często jedynym mężczyzną w szkole jest ksiądz. Chłopcy nie mają więc zbyt wielu wzorów – a czasem widzą nawet antywzory. W moim liceum, dość dobrym, pracował nauczyciel,

który z poprzedniej szkoły został wyrzucony za aferę na tle seksualnym. Inny nauczyciel z „dobrej szkoły” po pijanemu składał swoim uczennicom seksualne propozycje. Wiem, że przytoczyłem sytuacje skrajne, ale należy przyznać, że istnieje problem z męskimi wzorcami w środowisku szkolnym. Do tego dołącza większa wśród chłopców (według statystyk) powszechność oglądania pornografii. Ta z kolei niszczy wiele wymiarów kształtującego się charakteru, a do pewnego wieku szkodzi również rozwijającemu się mózgowi. Chłopcy widzą w kulturze obraz mężczyzny – twardego, nieczułego (choć na pewno są wyjątki, w których przedstawia się go inaczej).

Wszystkie wspomniane obrazy jednak, również te kobiece, opierają się na pewnym kłamstwie. Brzmi ono: „To my wiemy, jacy powinni być kobieta i mężczyzna, a jacy nie powinni być”. Różnie biegną drogi rozwoju obu płci, a próba zaprojektowania ramki, w której wszyscy się zmieszczą, nie ma żadnego sensu. Podobnie jest ze stwierdzeniem, że mężczyzna i kobieta są tacy sami – nie są, co wynika z biologii. Kwestia kształtowania siebie, własnej męskości czy kobiecości, obecnie jest ograniczona jednak tylko wyobraźnią.

Zastanówmy się, jaki z tego wyciągnąć wniosek. Wydaje mi



się, że po prostu należy podsuwać dzieciom dobre książki, filmy i gry, spośród których one wybiorą to, co będzie im pasowało. Widziałem ostatnio w Empiku serię *Sto opowieści dla...* w dwóch wersjach, dla dziewczyn i dla chłopców. Opisano w nich historie ludzi, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, których życiorysy uznaje się za ciekawe, pełne kreatywności, naznaczone wartościami. Opowieści tego rodzaju mogą zainspirować każdego – jednego poruszy historia Davida Bowiego, kogoś innego życie Stana Lee, a kolejną osobę biografia Osamu Tezuki, Stanleya Kubricka, czy któregoś z generałów. Przyznaję się, że nie czytałem tej serii,

ale sam koncept, ukazujący różnorodność kobiecych i męskich charakterów, wydaje się mi trafiony.

Kolejna myśl dotyczy tego, że my, katolicy, mamy wiele ciekawych wzorców w osobach świętych. W tej materii wydaje mi się ważne, by „odsłodzić” ich obraz. Przykładowo można pokazać, że Jan Paweł II był nie tylko wielkim papieżem, który lubił Barkę, a po maturze chodził na kremówki, ale należał również do znakomitych aktorów, za niemieckiej okupacji pracował w kamieniołomie, w PRL walczył z trudnościami ze strony „ludowej” władzy.

Warto przypomnieć, że Ignacy Loyola nie tylko zało-

żył zakon jezuitów, ale zaczynał jako dość brutalny żołnierz, który zastanawiał się, czy nie zabić człowieka obrażającego Maryję (notabene, gdyby ktoś mnie zapytał, czy istnieje przesada w kulcie maryjnym, to podałbym właśnie ten przykład). Można pokazać, że święty Wojciech nie tylko „dał się zabić”, ale także próbował reformować Kościół w Czechach, a gdy to się nie powiodło, obrażony udał się do klasztoru we Włoszech (dzięki czemu uratował się z masakry dokonanej na jego rodzice).

„Odsłodzić” wizerunek świętych to znaczy ukazać, że byli to ludzie, którzy również popełniali błędy i walczyli z przeciwnościami losu. W ten sposób łatwiej byłoby zachęcić młodych ludzi do pytania o ich własną drogę do świętości. I pozostaje jeszcze wyzwanie – przekonać dorastające kobiety, że święte to nie tylko zakonnice i matki wielu dzieci.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*

Dlaczego Jezus nie był kobietą?



Jan Borowski

Zapewne wielu spośród czytelników zna amerykański film *Chata* oraz książkę o tym samym tytule. Bóg przychodzi w niej do głównego bohatera pod postacią kobiety. Ma ku temu istotne powody. Ze względu na doznane zranienia człowiek ten nie byłby w stanie zaakceptować Go jako mężczyzny. Takiego, jaki przyszedł na świat dwa tysiące lat temu.

Właśnie za taką koncepcję przedstawienia Boga wielu skrytykowało tę protestancką produkcję. Można jednak, przy odrobinie wysiłku, odczytać z niej pewną naukę. Bóg bowiem, zdaniem teologów, nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. I choć w Biblii opisuje się Go głównie za pomocą słów rodzaju męskiego – jak Ojciec, Pan, Pasterz – jako Duch nie może mieć przeciw płci. Jeżeli zaś w Betlejem przyszedł na Ziemię jako mężczyzna, nie stało to się przypadkowo. I w tym musiał kryć się Boży zamysł.

Judaizm – religia mężczyzn?

Mimo iż społeczeństwo żydowskie było w znacznej mierze patriarchalne, Biblia już od samego początku zachęcała do



źródło: pixabay.com

innego postrzegania płci. Patriarchalizm jest na jej kartach nierzadko krytykowany, a kobiety przedstawiane są jako te, które swoim odmiennym sposobem działania mogą spełniać Boży plan znacznie lepiej niż mężczyźni.

Pięknie ilustruje to pierwszy rozdział Księgi Rodzaju, gdzie Bóg stwarza człowieka (pojedynczego) mężczyzną i kobietą, nie zaś w liczbie mnogiej, ludzi. Dopiero razem stanowią według Boskiego zamysłu pełnego człowieka. W drugim opisie stworzenia Ewa zostaje nazwana „odpowiednią [dla Adama] pomocą”. Nie należy jednak tej pomocy rozumieć jako funkcji marginalnej. Warto zauważyć, że użyte w tym fragmencie hebrajskie słowo pojawia się w Bi-

blii wielokrotnie w odniesieniu do Boga w kontekście doniosłych wydarzeń, jak choćby wyprowadzenie Izraelitów z Egiptu. Czy zatem funkcji kobiety nie należy raczej rozumieć jako dopełnienia?

Wśród wielu historii Pisma Świętego można odnaleźć takie, w których to kobiety wyciągały mężczyzn z opresji, jako jedyne były posłuszne Bogu czy nawet ratowały cały naród. Piękna i inteligentna Abigail została ukazana jako przeciwieństwo głupiego oraz okrutnego męża Nabala. Barak nie był zdolny do posłuszeństwa Bogu, dlatego jego misję wykonała Debora, a po niej Jael. Również Judyta była tą, która jako jedyna spośród całego Izraela potrafiła zwyciężyć nad wojskami asyryjskimi i wy-

bawić rodaków od zagłady. Stąd, nawet jeżeli rola kobiet była w tamtym społeczeństwie mniej istotna, na pewno nie można jej uznać za pomijaną.

Jednak nie taki męski

Pomimo przytłaczającej liczby obrazów – tak w Starym, jak i w Nowym Testamencie – w których Bóg jawi się nam jako mężczyzna, można także znaleźć fragmenty przedstawiające Go na sposób raczej kobiety. Choćby Ozeaszowi opisuje siebie jako matkę, która karmi piersią swoje dziecko – Izrael (11, 4). Przez usta Izajasza mówi: „Jak kogo pociesza własna matka, tak Ja was pocieszać będę” (66, 13). A w innym miejscu: „Nosiłem [was] od urodzenia, piastowałem od przyjścia na świat” (46, 3).

Ciekawych refleksji może dostarczyć również przyjrzenie się samym słowom opisującym Boga. Niektóre z nich są rodzaju żeńskiego jak chociażby określenie Ducha Świętego (Ruah) czy Bożej Obecności (Szekina). Natomiast hebrajskie słowo oznaczające miłosierdzie Boże (rahamim) badacze wywodzą od wyrazu oznaczającego matczyne łono.

Dlaczego Jezus nie przyjął ciała kobiety?

Tytułowe pytanie jest oczywiście nieco przekorne. Nie da się na nie odpowiedzieć bez spekulacji. Z pewnością nie bez znaczenia były uwarunkowania społeczne. Głosić nauki w synagogach mogli jedynie mężczyźni i to po ukończeniu trzydziestego roku życia. Bóg wcielony w kobietę nie miałby, jakbyśmy to powiedzieli dzisiaj, siły przebiecia.

Nie oznacza to jednak, że w spojrzeniu biblijnym kobieta jest kimś gorszym. Odgrywa ona w Bożym zamyśle niezwykle istotną rolę. Jest równa mężczyźnie i razem z nim ma dążyć do zbawienia.

Bóg jednak dostosowuje się do potrzeb człowieka. Przychodzi do nas w taki sposób, abyśmy potrafili przyjąć Jego łaskę. Jeżeli w Betlejem narodził się jako mężczyzna, zrobił to,

aby dotrzeć do jak największej liczby serc. Jeżeli w Modlitwie Pańskiej został nazwany Ojcem, to i w tym był Jego zamysł. Nie można przecież, jak to czynią niektórzy protestanci, tłumaczyć Pisma Świętego w sposób „neutralny płciowo”.

Także i my, jako mężczyźni i kobiety, powołani jesteśmy do życia chrześcijańskiego na różne sposoby. Nasza płć nie jest czymś, co nas ogranicza. Wręcz przeciwnie – uzdalnia nas do realizowania woli Bożej w przeznaczony nam sposób.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com



źródło:unsplash.com

Między sprzątaczką a kapłanką – jakie jest miejsce kobiety w Kościele?



Jan Buczyński

Dyskusja na temat roli kobiety w Kościele bywa niekiedy bardzo emocjonująca, często przypomina te ogólnospołeczne i ideologiczne spory o równouprawnienie, parytety, dyskryminację – a stymulowana przez skrajny feminizm wprowadza do wspólnoty eklezjalnej teorię „walki płci”. O co ta walka? Paradoksalnie o funkcje służebne, ale w domyśle o władzę.

Tymczasem prawda leży tam, gdzie leży, i nie jest wygodna ani promotorom kapłaństwa kobiet, ani stojącym na straży „tradycji”, wedle której rola kobiety w Kościele ogranicza się do modlitwy, mycia posadzek, układania kwiatów i gotowania na plebanii: to, jakie funkcje i zadania Kościoła wyznacza wszystkim swoim wiernym, wynika

zarówno z Objawienia Bożego, jak i roztropnego oraz mądrego odczytywania „znaków czasu”. Właściwe odczytanie prawdy o różnorodnym powołaniu kobiety i mężczyzny – tego, co może być naszym wspólnym doświadczeniem, a co w naturalny sposób jest zarezerwowane tylko dla jednej płci – to klucz do spokojnego rozwiania wątpliwości

co do obecności kobiet w takich obszarach jak kapłaństwo, służba liturgiczna, kuria, parafia, teologia, katecheza i inne.

Jeszcze tytułem wstępu małe zastrzeżenie: w poniższym spojrzeniu na kwestię dowartościowania roli kobiety w Kościele celowo pomijam przestrzeń życia zakonnego i konsekrowanego – chociaż pozytywny

wkład niezliczonej liczby sióstr, dziewic i wdów jest dla wspólnoty eklezjalnej oraz społecznej nieoceniony – ponieważ to szczególne powołanie z dość uторowaną ścieżką (co nie znaczy, że zawsze sprawiedliwie ocenianą i przyjmowaną). Chcę skupić się na możliwościach kobiety/dziewczyny żyjącej w świecie, często w małżeństwie, pragnącej znaleźć dla siebie godne miejsce w Kościele.

Równi w godności, różni w naturze

Biblijny obraz stworzenia świata ukazuje mężczyznę i kobietę równych w swojej godności, tak samo umiłowanych przez Boga, powołanych do życia w zjednoczeniu z Nim. W tym obrazie Kościół odczytuje jednak prawdę nie tylko teologiczną, jak przypominał św. Jan Paweł II w Liście apostolskim o godności i powołaniu kobiety *Mulieris dignitatem* (1988): „Ten zwięzły tekst zawiera podstawowe prawdy antropologiczne: człowiek jest szczytem całego porządku stworzenia w świecie widzialnym; rodzaj ludzki, który bierze początek w powołaniu do istnienia mężczyzny i kobiety, wieńczy całe dzieło stworzenia; istotami ludzkimi są oboje, w równym stopniu mężczyzna i kobieta, oboje stworzeni na obraz Boga” (nr 6).



źródło: pixabay.com

Chrześcijaństwo przyniosło ze sobą prawdziwą rewolucję mentalną, jeśli chodzi o społeczne spojrzenie na kobietę. Jezus, słusznie nazywany „rzecznikiem godności kobiet”, rozmawiał z nimi (również z tymi wypchniętymi ze społeczności lub wspólnoty religijnej), otaczał się nimi, pozwalał im się dotykać. To kobiety były pierwszymi świadkami Zmartwychwstania, potem Apostołowie nauczali, że „nie ma już mężczyzny i kobiety”, wszystkim stawiane są takie same wymagania, co od ówczesnych wymagało przebudowy

swojego sposobu myślenia.

Późniejsza historia Kościoła pokazuje rzeczywiste dowartościowanie roli kobiety, oczywiście głównie ze względu na Maryję, wzorzec człowieczeństwa – ale trzeba też przyznać, że z biegiem czasu przeniknęło do niego kulturowe i cywilizacyjne rozumienie roli i miejsca kobiety w społeczeństwie, co nie zawsze było zgodne z duchem Ewangelii. Można wskazać kilka niezwykłych kobiet, niezależnych, samodzielnych, zdolnych do pouczania samego papieża (Hildegarda z Bingen, Katarzy-

na Sieneńska, Teresa z Ávili i in.), ale to jednak perły na ogólnym tle patriarchalnej instytucji, umniejszającej rolę kobiety i zawężającej ją do służebności, rozumianej zgodnie z ówczesną kulturą („służyć to być poddanym”), a nie optyką chrześcijańską („królować to służyć”).

XX wiek, głównie dzięki ojcom Soboru Watykańskiego II, a także późniejszej, świeżej i kreatywnej wizji kobiecości w myśli św. Jana Pawła II, to czas nowego odczytania oraz zrozumienia miejsca i posłannictwa kobiety w Kościele.

Kapłanka?

Kościół katolicki jednoznacznie stwierdza, że „święcenia ważne przyjmuje tylko mężczyzna ochrzczony” (KPK, kan. 1024). Ponieważ – szczególnie w ostatnich dekadach – różne środowiska postulowały zmianę tej zasady na rzecz dopuszczenia ordynacji kobiet, kolejni papieże wyjaśniali, dlaczego jest to niemożliwe. Z pozoru wydaje się, że nie jest to do końca logiczne. Skoro zarówno kobieta, jak i mężczyzna mają tę samą godność dziecka Bożego, a na dodatek przez chrzest włączeni zostali w powszechne kapłaństwo Jezusa Chrystusa, to dlaczego kapłaństwo służebne ma być niedostępne dla kobiet? To w zasadzie jedyna

przestrzeń, do której dostęp mają tylko mężczyźni – co więcej, każdy z nas mógłby pewnie podać przykład świetnej profesor teologii lub katechetki, która byłaby lepszym duszpasterzem niż niektórzy księża. Tylko że problem powstaje przy fundamentalnym rozumieniu, czym jest kapłaństwo. Wielu osobom kojarzy się ono z bardzo szeroką przestrzenią, powiedzmy, trzech aktywności: administracji, duszpasterstwa, liturgii. Jednak dziś kobiety mogą swobodnie pełnić niemal wszystkie funkcje w administrowaniu Kościołem i jego duszpasterstwie (oddzielnym tematem jest, czy ciągle nie napotyka się na opór i blokadę), zaś w liturgii niewątpliwie powiększyły się możliwości czynnej służby, choćby w porównaniu do czasów sprzed Soboru Watykańskiego II.

Jednak kapłaństwo w swej najgłębszej istocie jest zarezerwowane dla mężczyzn. W 1975 roku papież Paweł VI w liście do arcybiskupa Canterbury podał trzy główne argumenty: Chrystus wybrał na Apostołów tylko mężczyzn, Kościół naśladuje swojego Pana i robi to samo, zaś Magisterium Kościoła konsekwentnie głosi, że brak ordynacji kobiet jest zgodny z zamysłem Bożym. Rok później Kongregacja Nauki Wiary szereg wyjaśniła całe zagadnienie, dodając do tego logiczny wnio-

sek, że Jezus – który jak na ówczesną praktykę postępowania wobec kobiet zachowywał się wobec nich bardzo niekonwencjonalnie i odważnie – gdyby chciał, wybrałby przynajmniej jedną z nich do grona Apostołów (pomiął w tym nawet swoją Matkę), natomiast później Apostołowie, mając do pomocy wiele kobiet, niektórym z nich powierzając nawet bardzo ważne role w młodych Kościołach, i korespondując z nimi, ustanawiali w posłudze kapłańskiej również tylko mężczyzn.

Jan Paweł II ostatecznie uciął wszelkie wątpliwości: najpierw, w przywoływanym już wyżej liście *Mulieris dignitatem*, wskazując, że obraz miłości Chrystusa do Kościoła ma przypominać relację Oblubieńca (mężczyzny) do Oblubienicy (kobiety), a więc czytelność znaku wymaga, żeby kapłan (działający in persona Christi) był mężczyzną. Kończąc list apostolski *Ordinatio sacerdotalis* (1984) dodał: „(...) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne”. Kongregacja Nauki Wiary stwierdziła, że ta doktryna powinna być nieodwołalnie uważana za należącą do depozytu wiary.

bp Christina Odenberg z
Kościoła Szwecji



źródło: wikimedia.org

Ministrantka?

Reformy liturgiczne po Soborze Watykańskim II sprawiły – a co chyba istotniejsze, sprawił to ogólny „klimat” zmian społecznych i obyczajowych drugiej połowy XX wieku – że coraz częściej pojawia się, obok kapłaństwa kobiet, temat służby liturgicznej dziewcząt. O ile ta pierwsza sprawa jest definitywnie zakończona, to kwestia mini-

strantek (czyli żeńskiego odpowiednika ministrantów) nie jest już tak jednoznaczna. Wiąże się to generalnie z powszechniejszym zaproszeniem ludzi świeckich do włączenia się w różnorodne posługi liturgiczne.

Kościół w Polsce może pościć się tym, że już od lat 70. XX wieku Krajowe Duszpasterstwo Służby Liturgicznej polecało powierzanie dziewczętom różnych posług liturgicznych,

ale poza prezbiterium, zgodnie z wielowiekową tradycją, że wstęp do niego mają tylko mężczyźni. W sposób szczególny Ruch Światło-Życie (w posłudze diakonii liturgicznej) zaangażował się w propagowanie takiej służby. Pisanie komentarzy, wprowadzeń, przygotowywanie modlitwy powszechnej, funkcja psalterzysty, czytanie Słowa Bożego (gdy nie ma lektora), dbanie o porządek i ład w świątyni, troska o dary ołtarza, śpiew liturgiczny to główne funkcje, do których kobiety, często z racji swoich naturalnych predyspozycji, są zapraszane.

A w prezbiterium? Ministrantki to zwyczaj dość powszechny w niektórych krajach, w Polsce niezbyt popularny, ale gdy gdzieś się pojawia, wzbudza często zainteresowanie graniczące z sensacją. W 1994 roku Kongregacja Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów wydała list, zgodnie z którym biskup danej diecezji może udzielić zgody na posługę przy ołtarzu kobietom, co powinno być zawsze warunkowane „prawdziwymi potrzebami parafii i dobrem wiernych”, czyli najczęściej brakiem chłopców chętnych do pełnienia funkcji ministranta lub lektora. Warto w tym miejscu przypomnieć, że prawo liturgiczne przewiduje obecnie dwa rodzaje (kiedyś to były odrębne święcenia, tzw. niższe) posług w

prezbiterium: akolity i lektora. Ministrant natomiast to po prostu zastępca akolity, nauczony pełnienia niektórych jego zadań, gdy kogoś takiego nie ma w danym miejscu, np. w parafii.

W Polsce obecnie część diecezji wyraziła zgodę na ministrantki, część nie. Choć wydaje się, że dziewczęta przy ołtarzu to nie jest nic złego – przeciwnie, są bliżej tajemnicy Eucharystii, może to być okazja do pogłębiania wiary i pobożności – to jednak są poważne argumenty przemawiające za tym, że nie jest to najlepszy pomysł, a raczej swego rodzaju wyjątek wynikający z aktualnych potrzeb. Przede wszystkim akolityt zawsze mógł przyjąć (i nadal tak jest) tylko mężczyzna, a skoro ministrant to zastępca akolity, logiczne jest, że powinien być

w tym miejscu chłopiec. Taka jest teologia prawa liturgicznego, które całą swoją tradycję opierało na „męskim prezbiterium” i nie wynikało to z celowej dyskryminacji kobiet ani jakiegokolwiek szowinizmu, ale było konsekwencją kapłaństwa mężczyzn, a w związku z tym dopuszczaniem jako najbliższych posługujących przy ołtarzu również osób tej płci. Warto podkreślić, że to nie jest nauczanie dogmatyczne (tak jak przywoływany brak ordynacji kobiet), ale raczej kwestia dyscyplinarna, której nie powinno się odrzucać po wielu wiekach obowiązywania zbyt łatwo i pochopnie.

Jako argument przeciwko dopuszczaniu kobiet (dziewcząt) do bezpośredniej służby przy ołtarzu przywołuje się również to, że paradoksalnie może to w

nich na końcu wzbudzić pewną frustrację lub rozczarowanie. W przypadku chłopców służba ministrancka to naturalne miejsce fascynacji kapłaństwem, wzbudzania i rozwijania powołania w tym kierunku, u dziewcząt również taka myśl może się pojawić, jednak siłą rzeczy akurat dla nich dalsza droga jest tu zamknięta. Wreszcie pozostają wątpliwości socjologiczne, wychowawcze, związane z jednoczesnym posługiwaniem przy ołtarzu chłopców i dziewcząt – kwestia rywalizacji między nimi, frustracji tym razem z męskiej strony wynikającej z tego, że dziewczęta często są dokładniejsze w swoich czynnościach, przez co mogą wysuwać się na pierwszy plan, nie mówiąc o naturalnych problemach związanych ze wzajemnym rozkojarzeniem i rozproszeniem, szczególnie w okresie dojrzewania, czego akurat w przypadku służby liturgicznej powinno się, w miarę możliwości, unikać.

Co pozostaje?

Od kilku dekad narasta w Kościele świadomość i akceptacja przemian społecznych, jakie dokonują się, jeśli chodzi o pojmowanie roli kobiet. Oczywiście wszystko wymaga roztropności, mądrego odnoszenia się do różnych pomysłów, odrzucając te skrajne. Kościół zawsze będzie bronił antropologii pokazującej



źródło: unsplash.com

różnice między płciami, wzajemną komplementarność (uzupełnienie) oraz to, że niektóre role mogą być jak najbardziej przyjmowane przez kobiety i mężczyzn, ale niektóre, przede wszystkim dwie podstawowe – macierzyństwo i ojcostwo – już nie. Tylko kobieta może zrodzić dziecko, tylko ona może być matką – i to wpływa na ukierunkowanie niektórych funkcji, w których zwykle kobiety radzą sobie lepiej; analogicznie tylko mężczyzna może być ojcem. Bycie ojcem i matką, poza oczywistymi aspektami biologicznymi, posiada również wymiar macierzyństwa i ojcostwa duchowego, co w przypadku posług podejmowanych w Kościele ma bardzo duże znaczenie.

Wracając do konkretów: czy kobietom pragnącym bardziej zaangażować się w życie Kościoła pozostaje jedynie mycie kościelnej posadzki, układanie kwiatów lub obeznanie w garnkach na plebanii? Żadna z tych czynności nie jest w niczym uwłaczająca, choć często nie dość doceniania, odpowiednio wynagradzana, zauważana. Z reguły takie czynności wykonują właśnie kobiety, może dlatego, że są w nich po prostu lepsze, dokładniejsze niż mężczyźni.

Kobiety świetnie radzą sobie na wydziałach teologicznych, wybierając drogę kariery naukowej, ale niestety prawda też jest

taka, że tych, którym taka kariera rzeczywiście się udała, jest niewiele; rozpychanie się łokciami nie tyle w męskim, ile skleryzowanym środowisku, z jego uprzedzeniami, stereotypami i przywiązaniem do lepszych oraz gorszych tradycji nie jest proste (zwłaszcza gdy jednocześnie próbuje się to godzić z macierzyństwem). Podobnie stanowiska administracyjne w Kościele (kurie, parafie itp.) mogłyby być w większym stopniu obsadzone kobietami, również na poziomie decyzyjnym, oczywiście w granicach określonych przez koncepcję duszpasterską Kościoła.

Studia teologiczne kończą się często pracą w zawodzie katechety. Jest to jednak specyficzne powołanie; doświadczenie pokazuje też, że niestety zdarza się, iż kobieta-katecheta (świecka) nie zajmuje wysokiej pozycji w ciele pedagogicznym na terenie szkoły, musi ciężko pracować (za niewysokie wynagrodzenie); na dodatek wymaga się od niej dodatkowej aktywności poza szkołą, w życiu parafialnym, w zamian ofiarując najwyżej słowa podziękowania przy uroczystościach pierwszokomunijnych.

Klerykalizm, czyli gdzie indziej przebiega front

W tym miejscu dochodzimy do istotnej kwestii: jeśli ja-

kaś „rywalizacja w Kościele” ma miejsce, to nie tyle między kobietami a mężczyznami (zakładając, że wszyscy przyjmujemy z pokorą prawdę o różnicach między nami, uznając równość praw i predyspozycji), co raczej między duchowieństwem a laikatem. Źródłem takich konfliktach bywa najczęściej źle pojmowany klerykalizm, w polskich warunkach objawiający się choćby „obsadzaniem” na różnych stanowiskach księży – podczas gdy równie dobrze mógłby być to ktoś inny (również kobieta) – zamiast skupienia się na ich zadaniach kapłańsko-duszpasterskich.

Po słowach papieża Franciszka z początku jego pontyfikatu, w których apelował o rozszerzenie przestrzeni dla obecności kobiet w Kościele, powróciły pytania o możliwość kreowania kobiet kardynałami. Andrea Tornielli zapytał o to papieża wprost (w wywiadzie dla „La Stampa” w grudniu 2013 r.), na co Franciszek odpowiedział: „Jest to myśl, która nie wiem, skąd się wzięła. Kobiety w Kościele winny być dowartościowane, ale nie »skleryzowane«. Ten, kto myśli o kobietach-kardynałach, cierpi nieco na klerykalizm”.

Moim zdaniem pewne uspokojenie emocji związanych z rzekomym dyskryminowaniem kobiet w Kościele mogłoby



źródło: wikimedia.org

przynieść poskromienie klerikalizmu rozumianego jako wszechwładza osób duchownych, ich nieograniczony wpływ na całość życia Kościoła, który przecież jest wspólnotą wszystkich ochrzczonych, również świeckich (mężczyzn i kobiet). Kapłaństwo nie powinno kojarzyć się tylko z władzą i rządzeniem, ale ze służbą na wzór Chrystusa-Sługi. Koloratka nie może być niezbędnym składnikiem pomyślnej kariery naukowej (teologia) lub prawniczej (sądy kościelne), inaczej stan duchowny będzie ciągle stanowił tęskny cel osób, które nigdy nie będą mogły go osiągnąć (z różnych powodów, również płci). Zamiast tego lepiej pomyśleć o realizacji swojego powołania na

inne sposoby, często nie mniej satysfakcjonujące i potrzebne.

Prawo a życie

Kodeks Prawa Kanonicznego wskazuje, jak wiele możliwości jest otwartych przed kobietami w Kościele. Kanon 228 jednoznacznie stwierdza, że mogą one brać udział w soborze, synodach biskupich i diecezjalnych (na prawach doradcy lub gościa), mogą zasiadać w radach duszpasterskich diecezji i parafii, w radach ekonomicznych. Co więcej, kobieta może być ekonomem diecezjalnym lub zarządcą (nawiasem mówiąc, ostatnie lata pokazują, że kobiety świetnie sprawdzają się w roli rzeczników prasowych kurii diecezjalnych

i innych instytucji kościelnych). Kobiety mają prawo pracować w sądach kościelnych jako sędziowie, rzecznicy sprawiedliwości, obrońcy węzła małżeńskiego, audytorzy, asesory, notariusze, adwokaci...

Dodając do tego mnogość funkcji liturgicznych, jakie przedstawiłem wcześniej, okazuje się, że mamy całkiem spory i różnorodny wachlarz możliwości, w jakich kobieta może być obecna w Kościele. Prawo prawem, ale gdy napotka na nieuzasadnione uprzedzenia i źle ukształtowaną mentalność, samo w sobie nic nie zdziała. Codzienne życie wspólnoty wierzących jest zawieszone pomiędzy Nowym Testamentem, w którym „nie ma już mężczyzny ani kobiety” (Gal 3, 28), a ciągle istniejącymi kulturowymi i obyczajowymi barierami. To wymaga nieustannie mądrej otwartości oraz tworzenia pozytywnych wzorców po to, aby dowartościowanie i ukazanie równej godności wszystkich ochrzczonych – duchownych i świeckich, mężczyzn i kobiet – było rzeczywiste.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?

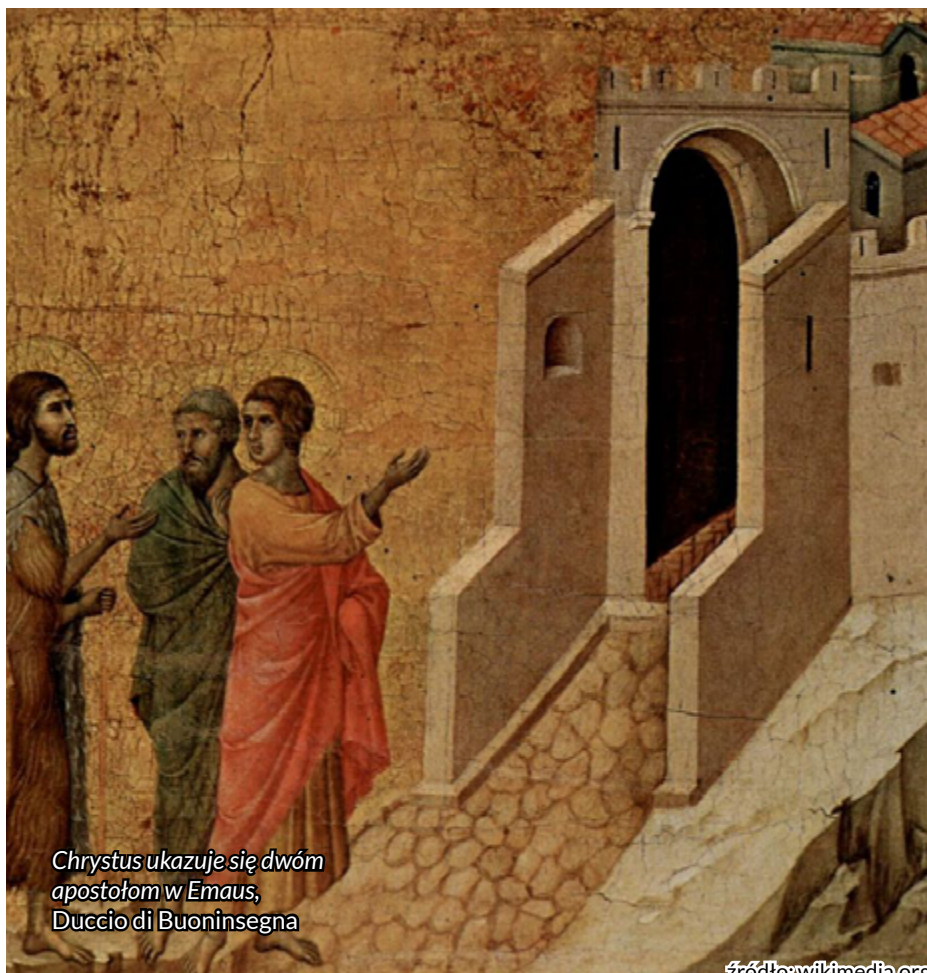
Teologia jako spotkanie człowieka z Bogiem



Patryk Kępczyński

Każdy z nas bywa teologiem. Teologię uprawia się, gdy rozważa się o Bogu i z Bogiem. O Bogu, gdy o Nim tylko mówimy, i z Bogiem, gdy wchodzimy z Nim w relację. Dlatego tak ważna jest wiara teologa, która tę relację umożliwia. Wystarczy, że istnieje choćby najmniejsza nić trzymająca człowieka przy wierze, a już pozwala mu to wchodzić w pewną relację i doświadczenie Boga.

Kim byli pierwsi teologowie? Jak mieli na imię? Trudno to określić. Mogę jednak wskazać bardzo dobrych teologów, o których czytamy w Ewangelii wg św. Łukasza – mam na myśli uczniów w drodze do Emaus. Jezus spotyka uczniów, którzy prowadzą ożywioną dyskusję o charakterze religijnym. Początkowo nie poznają Chrystusa. Być może są tak zaabsorbowani rozmową, że nie widzą swojego Pana. Są smutni, gdyż ich wyobrażenia na temat Mesjasza zostały w potworny sposób zniszczone. Uczniowie z żalem mówią: „A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela” (Łk 24,21).



Chrystus ukazuje się dwóm apostołom w Emaus,
Duccio di Buoninsegna

źródło: wikimedia.org

Oryginalny tekst grecki wskazuje jednak na to, że Jezus użył sił boskich – celowo nie dał się poznać uczniom. Choć ich serca płoną, gdy spotykają Pana, nie widzą jeszcze w Nim Tego, którego opłakują. Lecz w tym ukrytym, niedostępnym dla ich oczu, jest jakaś iskra, która porusza ich serca. Kiedy rozpoznają Pana? „Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu” (Łk 24,30-31).

Czego możemy się od nich nauczyć? Jaki przekaz niesie ta historia?

Opowieść ta ma nam uświadomić, że chociaż Bóg jest ukryty, to nie jest tylko cichym obserwatorem naszego życia. Nie przypadkiem Jezus dołącza do uczniów w momencie, kiedy o Nim rozprawiają. Rozmowa o Bogu jest zaproszeniem Go do naszego życia. W tym świetle nowe znaczenie zyskują słowa Ewangelii wg św. Mateusza: „Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18,20). Czegoś tu jednak brakuje: sama rozmowa o Bogu nie może nas satysfakcjonować, potrzeba czegoś więcej. Można wskazać trzy punkty, dzięki którym chrześcijanin poznaje i doświadcza Boga. Są to:



Wieczerza w Emaus,
Jacopo Bassano.

Źródło: wikimedia.org

modlitwa, czytanie Pisma Świętego i Eucharystia.

Modlitwa

„I mówili nawzajem do siebie: »Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał«?» (Łk 24,32). Rozmowa z Bogiem, czyli modlitwa, rozbudza nasze serca.

Lektura Pisma Świętego

„I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego” (Łk 24,27). Przez Pismo mówi do

nas sam Bóg. Do każdego osobiście, do każdego po imieniu. Słowo jest życiem, bo Słowem jest Chrystus.

Eucharystia

„Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu” (Łk 24,30-31). Eucharystia jest pięknym darem, którego jako grzeszni ludzie nie jesteśmy godni. A jednak dostąpiliśmy tej łaski: mieć w ustach samego Boga! Jak wielu z nas o tym zapomina! Św. Pa-

weł przestrzegają: „Kto bowiem spożywa i pije nie zważając na Ciało [Pańskie], wyrok sobie spożywa i pije” (1Kor 11,29). Potrzeba świadomości istoty tego daru, bo bez tego nie będzie w nas prawdziwej wiary. Wiary, która, choćby była przetapiana i próbowana dzień i noc, ostoi się, bo będzie zbudowana na skale (por. Mt 7,24-29).

Te trzy punkty nie gwarantują nikomu, że doświadczy Boga w nadzwyczajny sposób, ponieważ są różne sposoby doświadczania Boga. Bóg nie jest blisko tylko wtedy, gdy Go „czujemy” – jest nam bliski nieustannie, w końcu przenika cały Wszechświat. Na tym polega rozumność człowieka, że dostrzega to, co jest subtelne: cichą obecność Boga. To obecność nie narzucająca się, bo przecież świat nie ma podpisu Made by God; zawsze można iść w innym kierunku, odrzucając Stwórcę. Ale sama rozumność nie wystarczy. Potrzeba jeszcze pokory, której znakiem są zgięte kolana – a to łączy się ze wszystkimi trzema powyższymi punktami.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Św. Jan od Krzyża – czy warto? (cz. 2)



Piotr Sudoł

„By wstąpić na drogę ku Bogu, trzeba wszystko, co jest stworzone, oczyścić i spalić ogniem Bożej miłości. Przez to oczyszczenie wypędza się szatana, który ma władzę nad duszą z powodu jej przyłgnięcia do rzeczy cielesnych i doczesnych”, czytamy w *Drodze na Górę Karmel* (Kraków 2013, s. 43), jednym z najbardziej znanych dzieł Jana od Krzyża. Fundamenty nauki świętego karmelity to ogołocenie i oczyszczenie. Te zaś ściśle związane są z ogniem, nocą i w pewnym stopniu z powiewem wiatru. W jaki sposób noc i ogień połączone są z życiem duchowym? Zbliźmy się do myśli Jana od Krzyża.

Żywioł ognia

Warto wyjść w od naszych najprostszych skojarzeń z ogniem. Ogień przede wszystkim kojarzy się ze światłem. Gdy ognisko daje swoje światło, jesteśmy w stanie więcej zobaczyć. Ogień daje również ciepło,

ale może on także coś wypalać lub całkowicie spalić. To ostatnie znaczenie odnajduje swoją symbolikę w naukach Doktora Mistycznego. To płonący ogień Bożej Miłości przemienia duszę i jednocześnie wypala w niej to, co jest złe. Święty pisze: „By zaś dojść do Boga, opróżnić się musi

dusza z tego, co nie jest Bogiem” (tamże, s. 305). W tym punkcie po raz kolejny okazuje się, że duchowość Karmelu jest bardzo wymagająca i może sprawiać trudności.

W nauce świętego ogień oczyszczający duszę może niekiedy być bardzo bolesny, ale



źródło:unsplash.com

tak właśnie wygląda droga do jedności z Umiłowanym. Nie jest to ścieżka uśłana różami. „Nadto doznaje oczyszczenia, które niszczy, opróżnia i niweczy w niej wszystkie przywiązania uczuciowe i niedoskonałe nawyki, jakie zaciągnęła w całym życiu, tak jak ogień wypala zaśniedziałość i rdzę metalu. Ponieważ zaś owe niedoskonałości tkwią korzeniami w samej substancji duszy, odczuwa ona wewnętrzne wyniszczenie i męczarnie”, czytamy w *Nocy ciemnej św. Jana* (Kraków 2013, s. 96).

Wszelkie skojarzenia z prostą i przyjemną drogą niewątpliwie można odrzucić. Ogień przenika całą duszę człowieka.

Z czym jednak jako chrześcijanie powinniśmy kojarzyć właśnie symbol ognia? W *Żywym płomieniu miłości* czytamy: „O płomieniu Ducha Świętego, który tak dogłębnie i czule przenikasz substancję mej duszy i wypalasz ją swym błogosławionym żarem” (Kraków 2013, s. 54). Tak, właśnie ogień należy do symboli Ducha Świętego, który stale jest obecny i cały czas działa w naszej duszy. Apostoł Paweł pisze: „Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was?” (1 Kor 3,16-17) oraz „Wy jednak nie żyjecie według ciała, lecz według Ducha, jeśli tylko Duch Boży w was mieszka. Jeżeli zaś kto nie ma Ducha

Chrystusowego, ten do Niego nie należy” (Rz 8,9). Ogień u św. Jana może mieć więc dwa znaczenia – oczyszczającej miłości i Ducha Świętego. Św. Jan w jednym ze swoich wierszy odwołując się do symboli Trójcy Świętej, którymi są ręka, dotknięcie i upalenie, utożsamia ostatnie, a wraz z nim ranę, właśnie z Duchem Świętym. Wiedząc już, czym jest ogień, możemy przejść do nocy.

Noc

Noc pojawia się równie często jak ogień. Jedno z dzieł Doktora Mistycznego ma słowo „noc” już w nazwie. Nasze najprostsze ludzkie skojarzenia z nocą to raczej ciemność, ograniczenie możliwości widzenia, tajemniczość, cisza. Jan od Krzyża noc jako porę przeniósł na płaszczyznę duchową. Święty przez noc rozumie stan człowieka, w którym jest on pozbawiony wszelkich przyjemności. W *Drodze na Górę Karmel* czytamy: „Nocą dla duszy można nazwać umartwienie pożądań. Gdy bowiem dusza wyzbywa się upodobania w pożądaniu wszelkich rzeczy, zostaje jakby w ciemności i bez niczego” (Kraków 2013, s. 44-45).

Noc ciemna ma jeden konkretny cel – pogłębienie naszej wiary przez doświadczenia, które na nas czekają. Noc jest bolesna dla duszy, ale tego wymaga



źródło:unsplash.com

oczyszczenie. „Nie mogą zrobić ani kroku na drodze rozmyślenia, jak to czynili przedtem. Ich zmysły wewnętrzne są pogrążone w tej nocy, oni zaś podlegają całkowitej oschłości. Nie tylko nie znajdują w rzeczach duchowych i pobożnych ćwiczeniach smaku i upodobania, którego przedtem doznawali, lecz przeciwnie, zamiast tego znajdują teraz gorycz i zniechęcenie” (Noc ciemna, Kraków 2013, s. 49).

Zapewne każdy z nas, pomimo bycia osobą wierzącą, doświadczał trudności w odnalezieniu przyjemności w praktykach religijnych. Odczuwalne było wtedy zniechęcenie zapewne nawet do modlitwy. Na

tym właśnie polega ta noc. Jest to czas dla duszy, w którym Bóg ją „próbuje”. W Księdze Syracha czytamy: „W ogniu doświadczasz się złoto, a ludzi miłych Bogu – w piecu utrapienia” (Syr 2,5). Tylko w utrapieniu może się naprawdę okazać, czy kochamy Boga dla Niego samego, czy dla korzyści z tego płynących. To prawdziwy sprawdzian wiary. Ma zostać tylko Bóg. Bez duchowych fajerwerków.

Powiew wiatru

Św. Jan od Krzyża był ściśle związany z kontemplacyjną tradycją Karmelu. Karmelici nieprzypadkowo uznają za swo-

jego ojca duchowego Eliasza. Do zrozumienia tego trzeba przytoczyć fragment Pierwszej Księgi Królewskiej: „Wtedy rzekł: »Wyjdź, aby stanąć na górze wobec Pana!« A oto Pan przechodził. Gwałtowna wichura rozwalająca góry i druzgocąca skały [szła] przed Panem; ale Pan nie był w wichurze. A po wichurze - trzęsienie ziemi: Pan nie był w trzęsieniu ziemi. Po trzęsieniu ziemi powstał ogień: Pan nie był w ogniu. A po tym ogniu – szmer łagodnego powiewu. Kiedy tylko Eliaz go usłyszał, zastłoniwszy twarz płaszczem, wyszedł i stanął przy wejściu do groty. A wtedy rozległ się głos mówiący do niego: »Co ty tu robisz, Eliaszu?«” (1 Krl 19,11-13). Bóg był w powiewie wiatru. Nie w spektakularnych zjawiskach. Schowany, łagodny, cichy, a mimo to obecny tak, że Eliaz go odnalazł. Jakie ma to znaczenie w kontekście mistyki karmelitańskiej? O tym w kolejnej części artykułu.

c.d.n.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com

Złodzieje relacji pomiędzy mężczyzną a kobietą



Dorota Ślęczek

Wielu młodym ludziom wydaje się, że w minionym wieku związki były trwalsze, a miłość małżeńska wierniejsza. Z pewnością mogło tak być, choć trudno potwierdzić taką tezę. Dostęp do środków masowego przekazu był mocno ograniczony. Choć rozstania się zdarzały, uważano to wtedy za wstyd. Dziś to społeczna norma, na którą nikt nie chce zwracać uwagi. Mało kto chce ratować i naprawiać związki. Brak nadziei na możliwość otrzymania drugiej szansy pcha nas do pójścia najłatwiejszą drogą, bez podejmowania jakiejkolwiek walki.

Przez bardzo długi czas nie byłam w związku. Zdarzały się momenty, że było mi z tym ciężko. Pragnęłam jednocześnie, aby moja relacja była tą pierwszą miłością, która poprowadzi mnie prostą drogą do małżeństwa. Z ciekawością obserwowałam związki wśród

moich znajomych, które w wielu przypadkach rozpadały się. Widziałam wiele par, które obiektywnie wydawały się wręcz idealne, stworzone dla siebie. Bardzo mnie oburzały takie rozstania, w szczególności wtedy, gdy miały miejsce w duszpasterstwie akademickim. Zadawałam

sobie pytanie: dlaczego? Rzadko zdarzało się, że ci ludzie walczyli i wracali do siebie, a jeszcze częściej te same osoby zmieniali swoich partnerów jak rękawiczki. Mając już chłopaka przekonałam się na własnej skórze, że bycie w związku wymaga nie lada poświęcenia i obustron-



źródło: pixabay.com

nej uwagi. Jak powiedział Konstanty Ildefons Gałczyński: „Nie wystarczy pokochać, trzeba jeszcze umieć wziąć tę miłość w ręce i przenieść ją przez całe życie”. Przestało już mnie dziwić, że związki tak szybko się rozpadają. Przyczyn jest wiele, lecz ja przedstawię kilka, które według mnie najczęściej się powtarzają.

Lekkomyślna decyzja

Warto zacząć od tego, że wiele związków, zwłaszcza tych pierwszych, doświadczanych w okresie dojrzewania, nie ma często nic wspólnego z praw-

dziwą miłością. Będąc nastolatką miałam złudne spojrzenie na ten temat, ale kiedy weszłam w wiek studencki, mój pogląd diametralnie się zmienił. Patrząc na pary nastolatków widzi się, w jak ostentacyjny sposób okazują sobie miłość – niezależnie od tego, czy jest to świat rzeczywisty, czy wirtualny. Każdego dnia starają się udowodnić znajomym swoją wartość, myśląc, że im bardziej będą okazywać publicznie swoją miłość np. poprzez pocałunek, tym lepiej dla nich. Taki związek szybko się rozpadła i równie szybko udaje się znaleźć kolejnego partnera na pokaz.

Zdarza się, że kiedy ktoś się w nas zakocha, zaczynamy sobie zadawać pytanie: co robić? Bywa, że ulegając presji otoczenia i burzy własnych myśli rzucamy się w wir wydarzeń, sądząc, że nie mamy wyjścia. Wchodzimy w toksyczną relację, niekiedy wbrew sobie. Myślimy, że to właściwa droga, że to Bóg zaprasza nas do takiego związku. Kiedy natomiast dojdzie do rozstania, czujemy się wykorzystani emocjonalnie. Przestajemy wierzyć, że w naszym życiu znajdzie się idealny kandydat na męża lub żonę. Towarzyszy nam lęk i strach przed wejściem w kolejny związek. Powinniśmy wiedzieć, że to my ponosimy odpowiedzialność za to, co zrobimy z emocjami i miłością, nie Pan Bóg. On daje nam tylko propozycję.

Pokusa wspólnego mieszkania i współżycie przed ślubem

Czystość przedmałżeńska zawsze była dla mnie oczywista. Uważałam, że jest ona łatwa do zachowania. Z chwilą, kiedy weszłam w związek z moim chłopakiem, przekonałam się o swojej pomyłce. Wszelka bliskość pociąga ku coraz większej cielesności. Wzajemne zapewnienia o planach utrzymania czystości nie wystarczają, bowiem często w relacje wtrącają się osoby

trzecie, które opowiadają o swoich doświadczeniach ze wspólnego mieszkania i współżycia przed ślubem. W skuteczny sposób potrafią zachęcić do pójścia tą samą drogą, argumentując, że trzeba się przed ślubem „sprawdzić”. Ze smutkiem i trwogą obserwuję, jak to grono powiększa się wśród katolików!

Mylimy się myśląc, że mieszkanie przed ślubem jest środkiem do pełnego poznania siebie nawzajem. Mieszkając razem narażamy się na ciągłą pokusę, nawet wtedy, gdy chcemy wytrwać w czystości. Życie pod jednym dachem oznacza zabawę w małżeństwo. Znikają randki, oczekiwania na spotkanie w wyznaczonym miejscu. Mamy siebie każdego dnia i każdej nocy. Coraz mniej rozmawiamy na ważne i głębokie tematy. Codzienne życie staje się rutyną. Każdy ma swoją rolę. Każdy zajmuje się swoimi sprawami w oddzielnym kącie. Doświadczamy problemów typowych dla świeżo upieczonych małżeństw. Osoby nieświadome takiego zagrożenia popadają w rozczarowanie, co nieraz skutkuje zakończeniem relacji.

W kwestii współżycia wiele osób obiera fałszywe założenie, że pójście do łóżka jest dowodem prawdziwej miłości – nic bardziej mylnego. Niestety coraz więcej ludzi nie widzi w tym nic złego. Kiedy współżyjemy



źródło: unsplash.com

przed ślubem, przekraczamy granicę, brnąc ku jeszcze większemu upadkowi. Przedwczesne odbywanie stosunku może doprowadzić do drastycznych i bolesnych przeżyć, a w ostateczności do uzależnienia seksualnego, o czym pisze Ks. Marek Dziewiecki (*Ona, On i miłość*, 2006, s.167): „dla osiągnięcia podobnego jak poprzednio stopnia przyjemności, dany człowiek potrzebuje coraz silniejszych bodźców”. W takim działaniu wielokrotnie zmieniamy partnerów, którzy sprostają naszym oczekiwaniom, aby następnie w dość szybki sposób ich porzucić. Zaczynamy pojmować stosunek

seksualny nie jako wzmocnienie więzi pomiędzy małżonkami czy związany z planowaniem potomstwa, a jako dążenie do zaspokojenia egoistycznej przyjemności, co jest ewidentnym zaprzeczeniem miłości. W dalszej części ks. Dziewiecki wyjaśnia (tamże): „Efektem przedwczesnej inicjacji seksualnej jest także frustracja, bo młodzi ludzie ulegają zwykle iluzji, że współżycie seksualne wystarczy im do osiągnięcia radości i do zbudowania trwałej więzi. Tymczasem po chwilowym oczarowaniu pojawia się bolesne rozczarowanie. Nie może być inaczej, gdyż doznanie przyjemności seksualnej



źródło: unsplash.com

nie może zaspokoić ludzkiej tęsknoty za miłością i wiernością”.

Brak umiejętnej komunikacji

Podstawą większości kryzysów w związku jest nieskuteczna komunikacja pomiędzy partnerami, która jest fundamentem tworzenia poważnej relacji. Nie potrafimy mówić otwarcie o swoich problemach i potrzebach oczekując, że druga osoba zrozumie, co nam chodzi po głowie. Polecenie „domyśl się” wpływa najczęściej z ust kobiet. Przekonałam się na własnej skórze, jak bardzo negatywnie na te słowa reagują mężczyźni. Należy wiedzieć, że mężczyźni nie chcą i nie lubią bawić się w takie „gierki”. Oni oczekują od kobiet

konkretnej wypowiedzi, by móc rozwiązać problem. Postępując w ten sposób zachowujemy się niedojrzale. W wielu sytuacjach konfliktowych zamiast poważnie i szczerze porozmawiać, staramy się rozwiązywać problemy poprzez milczenie. Ta forma komunikacji jest bardzo ryzykowna, gdyż czas na wzajemne wybaczenie może się wydłużać, a przez to oddalamy się od siebie.

Problem w komunikacji przechodzi czasami na sferę seksualną, o której już wcześniej wspominałam. O takiej sytuacji opowiadał o. Oskar Maciaczyk OFM na konferencji podczas XXXV obozu adaptacyjnego w Białym Dunajcu. (youtube.com, O. Oskar Maciaczyk OFM – Porozmawiajmy o tych sprawach – XXXV Biały Dunajec) Przy-

toczył on historię pewnej pary, która nie chciała ze sobą współżyć przed ślubem, jednak bali się, że jeśli się „nie sprawdzą”, to ich związek się rozpadnie. Ta decyzja doprowadziła ich do upadku. Po całym zdarzeniu pozostał niesmak, czego mogli uniknąć, gdyby oboje mieli odwagę stanąć w obronie swoich przekonań poprzez wzajemną komunikację, żyjąc później bez poczucia grzechu, który jest świadomym wykroczeniem przeciw Bożemu prawu – nawet za cenę utraty drugiej połówki, bowiem: „Lepsza chwila bólu rozstania niż męczenie się potem, czasami przez całe życie!” (Adonai.pl, O tym, jak rozmawiać z chłopakami na drażliwe tematy)

Świadomy związek – jak go zbudować?

Wielu z nas pragnie stałego związku, który będzie trwał do końca naszego ziemskiego życia. Jednak sama chęć nie wystarczy. Związek jest bowiem ciężkim krzyżem do uniesienia. To walka, która polega na ciągłej pracy nad sobą i swoimi wadami. Jak napisała w książce *Niepokorny*. Jego walka Jay Crownover: „Związku nie da się skroić na miarę: ludzie miewają wady. Miłość nie przechodzi ot tak – pielęgnowanie uczucia to czasem ciężka praca. To właśnie nasze niedoskonało-



źródło: unsplash.com

ści czynią nas wyjątkowymi...”. Związek to odpowiedzialność za drugiego człowieka. To postawa miłości, która polega na współpracy pomiędzy partnerami, którzy każdego dnia podejmują wysiłek w budowaniu dojrzałej relacji. Pięknie o miłości powiedział ks. Marek Dziewiecki w wywiadzie z Magdaleną Korzekwą: „Miłość to najbardziej niezwykła postawa człowieka do człowieka. To postawa najszlachetniejsza, najbardziej mądra, odpowiedzialna, czysta i czuła. Miłość jest postawą, która wynika z tego, że zachwycam się osobą, którą kocham, że widzę w niej największy skarb na

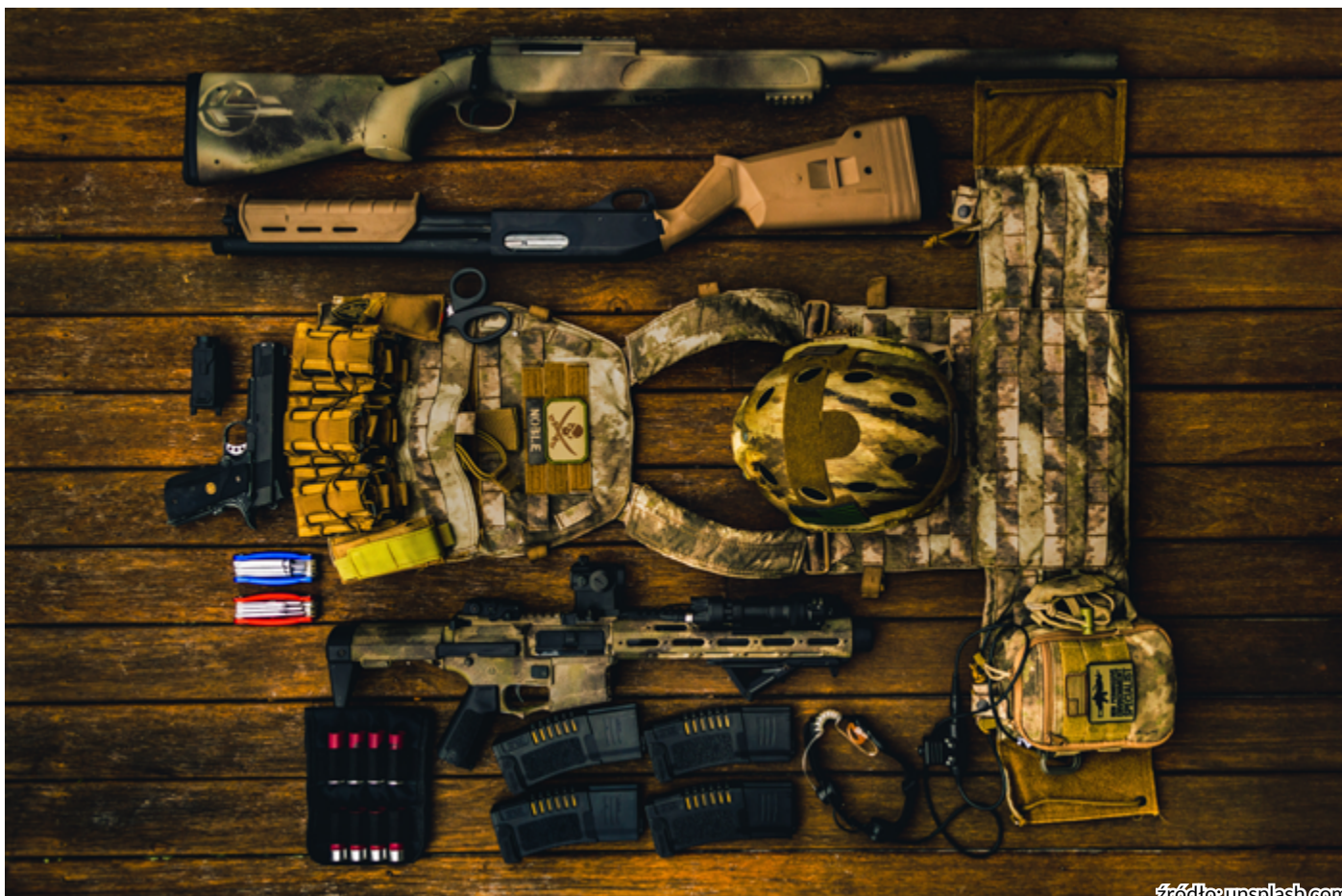
tej ziemi, że chcę ją wspierać w sytuacjach trudnych, a w radośnych pragnę cieszyć się razem z nią. Kochać to promieniować taką radością w obliczu tej drugiej osoby, takim zachwytem wobec niej, taką troską o nią i o jej los nawet w najdrobniejszych sprawach, by przy mnie chciało jej się żyć dosłownie w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji. Jeśli moja postawa nie sięga tego poziomu, to nie jest jeszcze miłość z mojej strony.” (Opoka.org.pl, Miłość i jej karykatury) Zanim postanowimy, że chcemy być z kimś w związku, zastanówmy się, czy jesteśmy na to gotowi; czy osoba, z którą chcemy

tworzyć wspólną przyszłość, jest dla nas odpowiednia. Jeśli jednak naprawdę chcemy, aby powodziło się nam w miłości, to wpierw powinniśmy nauczyć się stawiać Boga na pierwszym miejscu!

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

O powszechnej służbie wojskowej



Antonio Akmadža

Jedna z szerzej wyrażanych opinii na tematy związane z coraz częściej zauważanym kryzysem męskości w kręgu cywilizacji zachodniej brzmi mniej więcej tak: „a w ogóle to najlepiej byłoby wojsko przywrócić, żeby chłop to był chłop...”. Oczywiście, oprócz wyrażania takiego poglądu w potocznych rozmowach, przywoływanie powszechnej służby wojskowej pojawia się co jakiś czas w dyskusjach politycznych. Takie stanowisko bardziej kojarzone jest dziś z prawicą i osobami wyrażającymi poglądy z grubsza konserwatywne.

Ktoś powie, że jest to przecież logiczne i spodziewane. I po części będzie miał rację, ale tylko dopóki zachowamy dyskusję o powszechnej służbie wojskowej na najbardziej powierzchownym poziomie. Przecież to właśnie głównie konserwatyści dostrzegają kryzys męskości i nim się przejmują, więc bardziej

niż inni skłonni są do poszukiwania rozwiązań tego zagadnienia. Z drugiej strony, prawica przywiązuje wagę do takich pojęć jak suwerenność i obrona niepodległości państwa, narodu, a społeczeństwo pod bronią i zdolne do walki napędza ich większą pewnością, że te wartości zostaną obronione w wypad-

ku zagrożenia militarnego lub rozpadu struktur państwowych, spowodowanego bliżej nieokreślonym kryzysem.

Lewica jest dzisiaj z kolei mniej przychylna powszechnej służbie wojskowej. Pierwszy i najbardziej banalny powód, ale nie mniej prawdziwy, to taki, że powszechna służba wojskowa



już po prostu nie jest modna (z tego samego powodu część „konserwatystów” odczuwa sympatię wobec powszechnej służby wojskowej – bo to, co „modne” zazwyczaj wywołuje przeciwne dążenia sił reakcji). Kojarzy się ona z pewnymi ograniczeniami, wymaganiami, ofiarą – czymś, co nie pasuje do obrazu społeczeństwa wolnych jednostek, dążących do samo-realizacji, dobrobytu i wygody. Inne argumenty mają swoje uzasadnienie w pacyfistycznej utopii lub – jeśli chodzi o lewicę globalistyczną – w wyobrażeniu świata bez granic, w którym już nie ma miejsca na spory pomiędzy „plemionami”, więc tym samym przygotowywanie społeczeństwa do wojny nie jest pożądane. Oprócz tego ludzie skłaniają się ku powodom praktycznym, które przekonują również dużą część osób o poglą-

dach prawicowych. Powszechna służba wojskowa generuje koszt, a w dzisiejszych warunkach nie czyni państwa ani jego wojska silniejszym, więc tym samym taki wydatek jest nieuzasadniony, a w dodatku na jakiś czas wyłącza z życia gospodarczego potencjalnego pracownika.

W tym artykule nie chcę jednak dyskutować z lewicą. Chciałem tylko w najbardziej uproszczony sposób odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właśnie wśród konserwatystów częściej spotykamy dziś skłonność do wprowadzenia powszechnej służby wojskowej. Taka sytuacja świadczy o pewnym „wykolejeniu się” idei konserwatywnej, niejasnej wizji świata i społeczeństwa wśród części jej dzisiejszych wyznawców oraz o hybrydzie pomiędzy postawą konserwatywną a pewnymi niekonserwatywnymi prawicowymi (i nie tyl-

ko prawicowymi) ideologiami.

Tutaj należy zrobić dygresję i wspomnieć o różnicy pomiędzy postawą konserwatywną a konserwatyzmem. Postawa konserwatywna to odruch, instynkt zachowawczy, który w mniejszym lub większym stopniu występuje u wszystkich ludzi, kiedy spotykają się z nową rzeczywistością. Postawa konserwatywna ma swoją wartość, a również swoje miejsce w konserwatyzmie. Po części to właśnie z niej zrodził się konserwatyzm jako prąd ideologiczny, i to przede wszystkim on najlepiej dostrzegł siłę i wartość takiej postawy. Natomiast sama postawa konserwatywna, właśnie dlatego, że jest instynktem, może też zostać uruchomiona i użyta w walce przeciwko samemu konserwatyzmowi. Przykładowo, ta postawa może być zastosowana do obrony różnych przeżytków ustroju komunistycznego, do których ludzie zdążyli się przyzwyczaić, jak to dzisiaj często można zaobserwować w Rosji, ale po części też w innych społeczeństwach postkomunistycznych, także w Polsce. Konserwatyzm sprowadzony do postawy konserwatywnej może więc być tylko parodią konserwatyzmu.

**Los zawodu żołnierskiego
w społeczeństwie
organicznym**

W świecie roślin każdy osobnik na początku jest ziarnem. Ziarno ma prostą konstrukcję – nie obserwujemy w nim różnych złożonych części, z których każda miałaby jakąś odrębną rolę. Natomiast z tego małego, prymitywnego ziarna może rozwinąć się drzewo, składające się z całego szeregu zróżnicowanych części, specjalizujących się do pełnienia poszczególnych funkcji. Podobnie jest z rozwojem człowieka, który powstaje wraz z połączeniem się dwóch komórek, męskiej i żeńskiej, i na początku jest organizmem wyjątkowo prostym, w którym z czasem dochodzi do wzrostu i zróżnicowania kończyn i organów mających przeróżne zadania.

Jeżeli wzrost i związane z nim różnicowanie jest powszechnie spotykaną zasadą w przyrodzie, czy nie dotyczy ona również społeczeństwa? W społecznościach najbardziej prymitywnych nie obserwujemy większego zróżnicowania zawodów i ról społecznych. Malowidła praludzi w jaskiniach stanowią szczyt rozwoju ówczesnej sztuki malarskiej. Ale ten malarz też zapewne śpiewał, tańczył, zbierał owoce, polował, wytwarzał odzież z futra upolowanych zwierząt i był również wojownikiem. Był wszystkim naraz, ale w niczym nie był w stanie osiągnąć wyjątkowości, żadnej z tych

dziedzin nie wyniósł na wyższy poziom. Charakterystyczną cechą rozwoju społeczeństwa ludzkiego, tak jak w świecie przyrody, jest różnicowanie ról. Poprzez zróżnicowanie powstała cywilizacja, a im wyższy poziom cywilizacji, tym większe będzie i zróżnicowanie oraz podział pracy.

Jeśli spojrzymy na rozwój zawodu żołnierskiego na przestrzeni historii, dostrzegamy, że im niższy poziom cywilizacji, tym bardziej powszechny jest zawód żołnierza. Przykładowo, w czasach wielkiej wędrówki ludów każdy mężczyzna należący do jakiegoś plemienia zdobywcy wędrującego po Europie był żołnierzem (i podobnie rzeczy się mają dziś w większości społeczeństw koczowniczych). Kiedy już natomiast plemię postanowiło na stałe zamieszkać na jakimś terytorium, dochodziło zazwyczaj do podziału na dwa

stany – rolniczy i wojowniczy. Ten drugi coraz bardziej przejmował monopol na noszenie broni i prowadzenie wojny, natomiast przestawał zajmować się produkcją żywności, co stało się podstawowym zadaniem stanu rolniczego. I choć stan wojowniczy był stanem panującym, wraz z rozwojem cywilizacji, a przede wszystkim z powstawaniem miast (a także klasztorów) i związanych z nimi nowych zawodów (rzemiosło i handel), na znaczeniu zaczęły zyskiwać inne klasy społeczne. Arystokracja, która przeważnie wywodziła się z dawnego stanu wojowniczego, też coraz bardziej poświęcała się polityce, prawu i nauce, chociaż jeszcze przez długie stulecie pozostawała w dużej części związana z wojskiem, w którym zachowywała stanowiska oficerskie. Jednak z czasem wśród szlachty pojawiała się coraz więcej tzw. noblesse de robe



źródło: pixabay.com

(szlachty sukni), wywodzącej się z szeregów urzędników państwowych niemających wiele wspólnego z wojskiem.

W ten sposób stan wojowniczy stał się po prostu jednym z wielu stanów ucywilizowanego społeczeństwa. Nie było ani naturalne, ani pożyteczne, aby ten, którego ręce przyzwyczajone są do pług i produkowania jedzenia, tymi samymi rękoma trzymał miecz. Z kolei ani miecz, ani pług czy młotek nie pasowały do ręki wyćwiczanej w trzymaniu pióra czy pędzla. Takie były następstwa osiągnięcia poziomu cywilizacji, odpowiadającego stanowi rozkwitu w świecie przyrody. I było to z pożytkiem dla całego społeczeństwa ludzkiego, a również dla zawodu żołnierskiego, w którym rozwinął się pewien szczególny etos i styl życia. W ten sposób sama wojna, która zawsze towarzyszyła i będzie towarzyszyć społeczeństwu, została podniesiona na najwyższy moralnie poziom w dotychczasowej historii (mówię tutaj przeważnie o Europie w XVIII w.), choć zawsze towarzyszył jej też nieodłączny aspekt zwierzęcy i dziki, związany z jej hipnotyzującą naturą wyzwalającą w człowieku pierwotne instynkty.

W ten oto sposób o wojnie w tamtym okresie pisał Joseph De Maistre: „Zabijaliśmy się, paliliśmy, plądrowaliśmy, do-

puszczaliśmy się, jeśli chcecie, tysiące bezsensownych zbrodni – a jednak zaczynaliśmy wojnę w maju, a kończyliśmy w grudniu, spaliśmy w namiotach i tylko żołnierz walczył z żołnierzem. Narody nigdy nie brały udziału w wojnie, a wszystko, co słabe, było święte nawet pośród makabrycznych scen tej siejącej spustoszenia plagi. Było to jednak wspaniałe widowisko, gdy wszyscy suwereni Europy,



źródło:unsplash.com

powstrzymywani przez jakieś władcze umiarkowanie, nigdy nie żądali od swoich ludów, nawet w chwili wielkiego zagrożenia, wszystkiego, co mogłyby dać: posługiwali się człowiekiem łagodnie i wszyscy, ulegając jakiejś niewidzialnej mocy, unikali zadawania wrogim suwerenom ciosów, które mogłyby w nich samych ugodzić: chwała, sława i cześć wiekuista prawu miłości, nieustannie głoszonemu w środku Europy. Żaden naród nie

zatriumfował nad innym – wojna starożytna istniała już tylko w ksiązkach i pośród ludów bytujących w mrokach śmierci. Zmieniał się pan jednej prowincji, jednego miasta, często wręcz kilku wiosek – i to kończyło rozgorzałe wojny. Pośród szczękuł broni potrafiły się objawić wzajemny szacunek i najwyszukiawsza grzeczność. Bomba omijała pałace królewskie, tańce i widowiska po wielokroć stanowiły

żego i św. Wincentego à Paulo, nadludzko wielki i silny, stały jak wiara, żywy jak nadzieja, biegły jak miłość. Wszystkie żywe ofiary były przyjmowane, leczone i pocieszane, każdą ranę opatrywała ręka nauki i miłosierdzia!” (de Maistre J., *Wieczory petersburskie*, Warszawa 2011, s. 248-249).

Takie były skutki swoistej „elitarności” stanu żołnierskiego. Bycie żołnierzem było życiowym powołaniem. To powołanie stało się szlachetne i honorowe. Żołnierz miał zabezpieczone przez państwo środki do życia, jak również publiczną godność i cześć. W zamian ryzykował życiem na polu bitwy, zawsze gotów zginąć za króla lub cesarza. Był gotowy do śmierci w bitwie, przyjął taki los, i wiedział też, że ginąc w ten sposób rozstawi swój ród. Wiedział też, że jego przeciwnik jest taki jak on, i w ten sposób kształciła się międzyżołnierska solidarność i szacunek. Jedynie wyodrębnienie się stanu żołnierskiego mogło w ten sposób uszlachetnić wojnę. Czasy Ancien regime’u były czasami profesjonalnych armii, a nie powszechnej służby wojskowej!

Źródła ideologiczne i początki historyczne powszechnej służby wojskowej



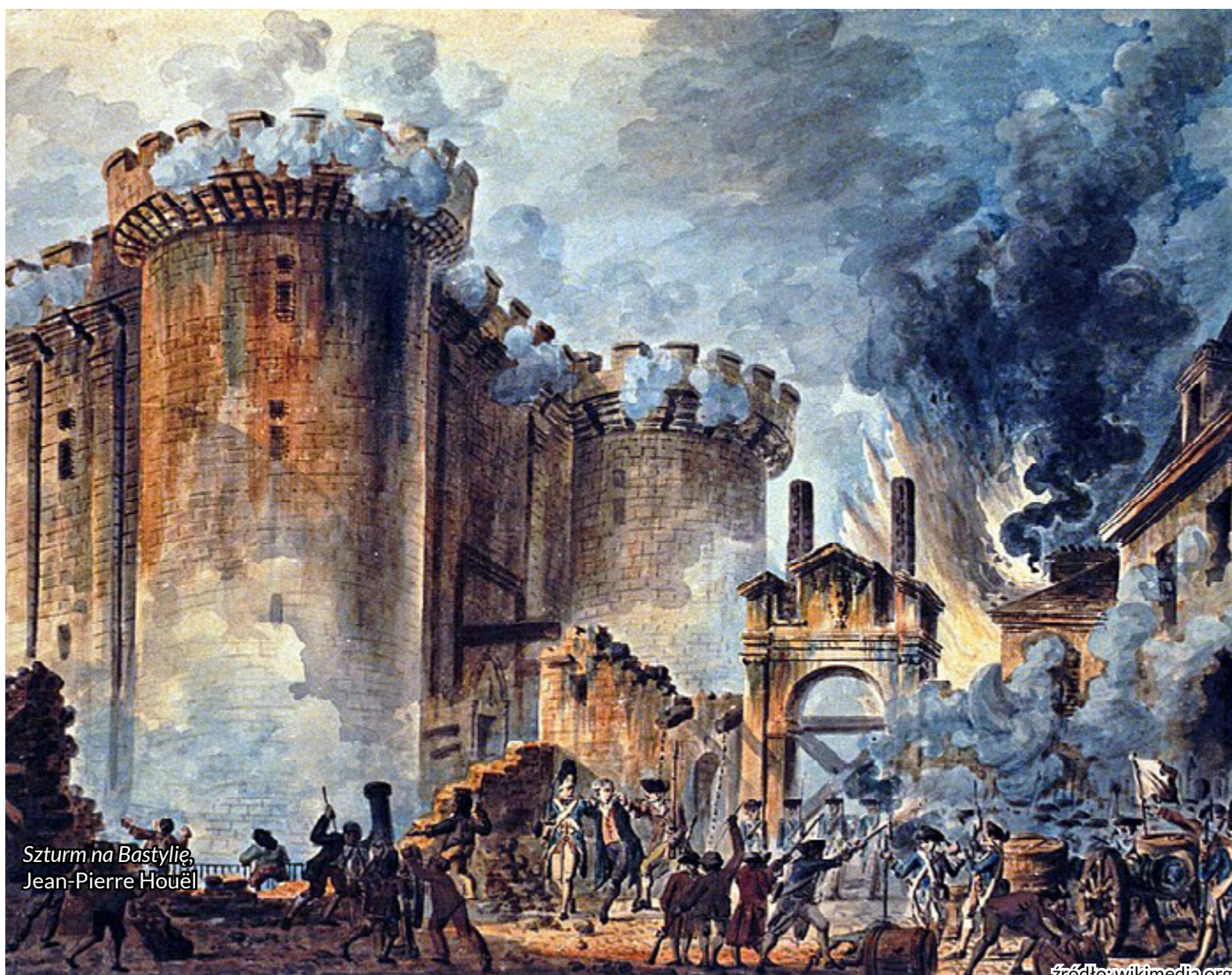
źródło: pixabay.com

Powszechna służba wojskowa jest zjawiskiem stosunkowo nowym. Pojawiła się po raz pierwszy w czasie Rewolucji Francuskiej. Do walki przeciwko małym, ale profesjonalnym armiom państw, które wówczas były w stanie wojny z Francją, utworzono gigantyczną armię składającą się z ludzi należących do wszystkich warstw społecznych. Powołano ją ustawą z 1789 r., zaczynającą się od słów: „Każdy Francuz jest żołnierzem i zobowiązany jest do obrony narodu”. Chłop porzucił pług, kowal porzucił młot, a urzędnik i nauczyciel – pióro; wszyscy chwycili karabin i szablę. Wszyscy razem utworzyli ujednoliconą masę, którą dowodzono za pomocą propagandy i siania fanatyzmu.

I to wszystko było w pełni zgodne z postępową zasadą egalitaryzmu – wszyscy obywatele

są sobie równi, więc każdy obywatel musi też służyć w wojsku. Powszechny pobór do wojska jest owocem Rewolucji Francuskiej i idei, które spoczywały u jej podstaw. Konserwatyzm z kolei powstał jako reakcja na Rewolucję Francuską, więc łączenie konserwatyzmu z ideą powszechnej służby wojskowej jest groteskowe. Powszechna służba wojskowa w czasach Rewolucji Francuskiej nie była tylko wymogiem chwili, przypadkowym następstwem rewolucji. Miała ona zwolenników wśród myślicieli oświeceniowych, którzy podstawili pod nią ideowe fundamenty, a do których zaliczał się też Jean-Jacques Rousseau.

Powszechna służba wojskowa według Rousseau była prawem i przywilejem, a profesjonalne armie stanowiły wyraz moralnego upadku. Nic dziw-



Szturm na Bastylie,
Jean-Pierre Houël

źródło: wikimedia.org

nego, że Rousseau tak uważał – przecież idealizował on tzw. stan naturalny człowieka. A stan naturalny dla Rousseau jest stanem przedcywilizacyjnym. Jak bardzo takie przekonanie jest groteskowe i błędne świadczy przykład ziarna i drzewa, którym posłużyłem się wcześniej. Według analogii społeczeństwa ludzkiego i świata przyrody, podążając za myślą Rousseau, stanem naturalnym drzewa jest ziarno. Stanem naturalnym człowieka jest stan embrionalny. Rozkwit jest więc upadkiem, dekadencją.

Krytyka

Louis de Bonald dobrze spostrzegł błąd, jaki popełnił Rousseau, i zaproponował inny schemat. Mianowicie, stan rozkwitu nie może być gorszy lub mniej naturalny niż stan, w jakim znajduje się ziarno. Ziarno też w jakiś sposób przedstawia stan naturalny, tylko że prymitywny. Istnieje ono po to, aby z czasem rozwinęła się z niego roślina w pełnej krasie. Stan rozkwitu urzeczywistnia pełnię potencjału, który znajduje się w ziarnie. Stan rozkwitu jest więc stanem naturalnym par excellence. Dla-

tego Bonald dostrzega trzy etapy w rozwoju społeczeństwa: etap prymitywny, etap naturalny (cywilizację) i etap barbarzyński. Etap barbarzyński nie jest tym samym, co etap prymitywny. Prymitywność jest stanem początkowym, dziecięcym, przez który wszystko (roślina, człowiek, społeczeństwo) musi przejść dla urzeczywistnienia pełni swojego potencjału. Etap barbarzyński z kolei jest etapem rozkładu. Stanowi zdziczenie, które następuje wraz z upadkiem cywilizacji. Z etapu ucywilizowanego nie ma powrotu do stanu prymitywnego, którego

wyobrażenie Rousseau określał naturalnym, lecz tylko przejście do stanu barbarzyńskiego. W podobny sposób opinię Rousseau krytykuje Joseph De Maistre: „Ciągłe brał on dzikiego za człowieka pierwotnego, gdy tymczasem nie jest on i nie może być niczym innym, jak tylko potomkiem człowieka oderwanego od wielkiego drzewa cywilizacji przez jakiś upadek” (tamże, s. 66).

Możemy przypuszczać, że obraz pewnego zdżiczenia ujrżeli żołnierze pruscy, kiedy ruszyła na nich jednolita i fanatyczna masa żądna krwi, jaką utworzono w rewolucyjnej Francji poprzez wprowadzenie powszechnego poboru do wojska. Takie przypuszczenie można oprzeć na wiadomościach o licznych zbrodniach i okrucieństwach popełnionych przez oddziały rewolucyjne. W każdym razie, w wyniku tego doświadczenia Królestwo Prus, które zawsze opierało się na silnej armii, postanowiło również na wzór Francuzów wprowadzić powszechną służbę wojskową. Wkrótce w ślad za nimi poszła większość innych państw.

Ten fakt zmienił zupełnie obraz wojny. Walczył już nie tylko żołnierz przeciwko żołnierzowi, lecz naród przeciwko narodowi. Historia poznała epokę wojny totalnej, która dała o sobie znać w XX w., przede wszystkim w

postaci wojen światowych. Nikt już nie był oszczędzony. To, co małe i słabe, a co według de Maistre’a we wcześniejszej epoce było święte – już świętym nie było, lecz stało się przedmiotem pogardy i, szczególnie w II wojnie światowej, było wyniszczane. Od teraz wojen nie zaczynało się w maju, a przerywało w grudniu – walczyło się bez przerwy, i to bez ogłoszenia wojny. Kule armatnie już nie omijały miast i pałaców, lecz właśnie w nie celowały. Nikt już nie zadowalał się jedną prowincją, lecz walczone do końca, do ostatecznego triumfu jednego narodu nad drugim. Tak się stało już po zakończeniu I wojny światowej

wraz z jej niesprawiedliwymi traktatami pokojowymi, które miały poniżyć pokonanych, a źródło takiego i podobnych „pokojów” we współczesnej epoce dobrze ujął Erik von Kuehnelt-Leddihn: „Są to zwykłe jednostronne dyktaty, które skutkują kolejnymi wojnami. Taką postawę uzasadnia istota »ludowładztwa«, ponieważ vox populi [...] jest bezlitosny wobec pokonanego wroga i nie ma dlań cienia współczucia” (von Kuehnelt-Leddihn E., *Demokracja – opium dla ludu*, Warszawa, 2012, s. 98-99).

Ten sam autor dostrzega również tragedię powszechnej służby wojskowej i podtrzymuje



źródło: unsplash.com

powyższą ocenę tego zjawiska: „Wprowadzenie równych praw zmusiło Rewolucję Francuską do ustanowienia równych obowiązków, np. obowiązku powszechnej służby wojskowej, co doprowadziło nie tylko do powstania ogromnych armii, lecz także do nadania wojnom charakteru totalnego oraz propagandowego wypracowania idei »frontu ojczyźnianego«, którego ofiary miały nie tylko ekonomiczny charakter. Ów militarystyczny kolektywizm znalazł swoje ujście w wojnie totalnej, której przejawem stała się zwłaszcza wojna powietrzna: nikogo nie »dyskryminowała«, wysyłała na śmierć sprawiedliwie: kobiety, dzieci, starców i innych cywilów, »demokratyzując« w ten sposób samą śmierć [...]. Powszechna służba wojskowa to dar Danaów demokracji. Wprowadził ją Carnot w czasie Rewolucji Francuskiej [...], zapewniając armii Napoleona liczącą przewagę nad innymi wojskami. Aby w czasie wojny utrzymać morale armii rekrutów i »frontu ojczyźnianego«, należy wykorzystywać wszelkie możliwe środki propagandowe, sławiąc własne cele wojenne i przedstawiając wroga jako ucieleśnienie wszelkiego zła i podłości. Podsycanie nastroju krucjaty ma wzmocnić fanatyzm armii, składającej się przecież z normalnych obywateli, którzy nie czują żołnierskiego

powołania” (tamże, s. 64 i 98).

Wracając do zagadnienia z początku artykułu, gdzie zauważyłem, że dziś wielu zwolenników przywrócenia powszechnej służby wojskowej widzi w niej jeden z możliwych remediów na kryzys męskości, po przedstawieniu całej problematyki z nią związanej mogę odpowiedzieć następująco: powszechna służba wojskowa nie jest lekiem, lecz – w sposób pośredni – źródłem kryzysu męskości. To właśnie powszechna służba wojskowa zmilitaryzowała cywilizację zachodnią. To ona jest winna zmianie charakteru wojny, która stała się wojną totalną. Tutaj właśnie leżą źródła pewnego „machoizmu” (który zbyt często mylony jest z męskością, a tak naprawdę stanowi jej parodię) pierwszej połowy XX wieku, który tak bardzo przesunął wahadło w jedną skrajność, że w pewnym momencie doszło do „pęknięcia” w społeczeństwie. To „pęknięcie” wyraziło się w rewolucji seksualnej, ruchu hipisowskim, i wszystkich innych zjawiskach drugiej połowy XX wieku, w których poszukujemy bezpośredniego źródła obecnego kryzysu męskości i ojcostwa. Skrajna akcja wywołuje skrajną reakcję.

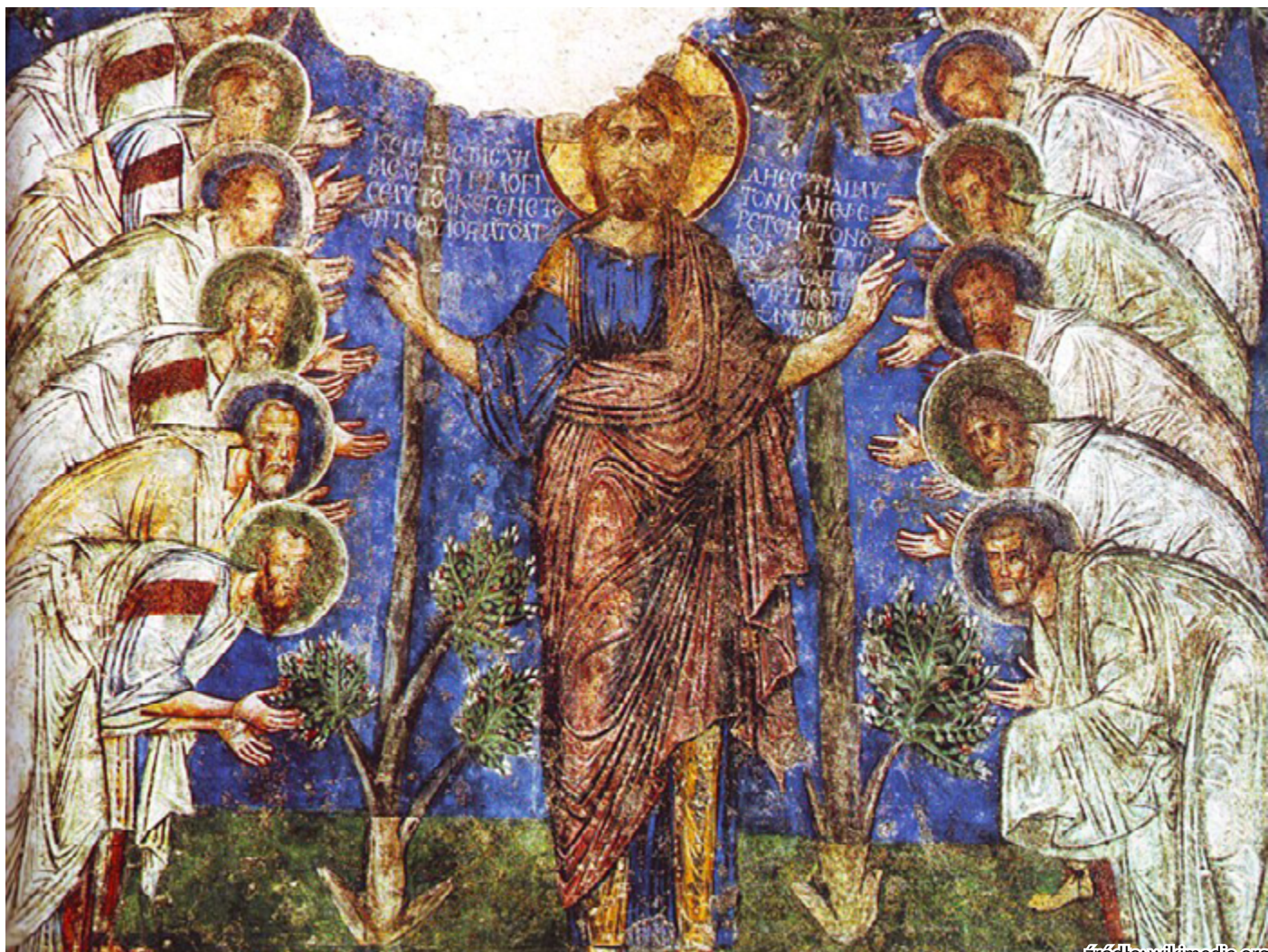
Dlatego powszechna służba wojskowa, z punktu widzenia autentycznie konserwatywnego, nie może być rozwiązaniem

dla kryzysu męskości, i w ogóle w żaden sposób nie może być pomysłem, który można by łączyć ze zdrowym konserwatywnym światopoglądem. Z błędów historii powinniśmy wyciągać wnioski. Jeśli chcemy cywilizacji szlachetnej, hierarchicznej, opartej na wartościach – innymi słowy, cywilizacji kwitnącej – to należy dążyć w stronę społeczeństwa zróżnicowanego, organicznego, a profesjonalne armie są jednym z elementów takiego społeczeństwa. Zniesienie powszechnej służby wojskowej nie jest (i nie powinno być) tożsame ze zniesieniem armii i rezygnacji z budowania zdolności wojskowych państwa – wręcz przeciwnie, powinno dążyć do ich ulepszenia, a także do odbudowy odrębnego stanu żołnierskiego. To jest kierunek, do którego skłania myślenie w sposób autentycznie konserwatywny. Zniesienie powszechnej służby wojskowej jest jednym z niewielu sposobów, aby cywilizacja zachodnia przywracała urządzenia sprzed Rewolucji Francuskiej – konserwatysta musi być w stanie to dostrzec.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: wikimedia.org

Nauka moralna Chrystusa głupstwem czy Bożą mądrością dla świata?



Bartosz Kurkowski

Czy przez przesłanie moralne Chrystusa przebija Boża mądrość, która dla świata może wydawać się głupstwem? Czy może świadczyć to o Jego wyjątkowości w historii? Czy może przesłanie to zawiera jedynie te najważniejsze i słuszne polecenia oraz wskazówki moralne, które wcześniej pojawiały się w różnych kulturach?

Wbrew pozorom zagadnienie to nie jest proste i jednoznaczne. Święty Paweł w Liście do Rzymian (2,14-16) pisze o prawie moralnym, które wynika z natury i jest wypisane w sercu każdego człowieka. I rzeczywiście, poza chrześcijaństwem

i judaizmem żyło wielu nauczycieli moralności, których przesłanie w mniejszym czy większym stopniu pokrywało się z chrześcijańską nauką moralną. Jak można przeczytać w *Historii filozofii*, ulubionym tematem rozmów Sokratesa było dobro,

piękno oraz dzielność połączona z gotowością do poświęceń. Arystoteles z kolei zalecał umiarkowanie – złoty środek, a stoicy ćwiczyli się w nieuleganiu swoim namiętnościom (Tartakiewicz, 2003).



źródło: pixabay.com

Co więcej, na Dalekim Wschodzie pojawiali się mistrzowie moralności, których nauki do dziś kształtują wielkie cywilizacje. Na przykład w Chinach wciąż uznaje się za kluczowe polecenia moralne Konfucjusza, a przesłanie Siddhartha Gautama znanego jako Budda stanowi podstawę buddyzmu. Oba nurty religijne wpływają na życie codzienne ogromnej liczby ludzi, a ich zasady nieraz przypominają te, które obowiązują w chrześcijaństwie. Przykładowo Konfucjusz zalecał okazywać szacunek swym przodkom, a w szczególności rodzicom.

Jak oceniamy słusność?

Warto w tym miejscu zastanowić się, czy bez Chrystusowych poleceń moralnych, a samą tylko refleksją nad etyką ludzkość byłaby w stanie dojść do ideału Chrystusowego przesłania. Refleksja ta mogłaby po-

legać oczywiście na docieraniu do zasad prawa naturalnego wypisanego przez Boga w naszych sercach. Czy rzeczywiście jednak całe prawo zostało w nich wypisane? A raczej – czy możliwe jest wydobyć go stamtąd w całości?

Otóż jeśli po usłyszeniu nauki moralnej Jezusa mówimy: „tak, to jest to, to jest najlepsza nauka moralna na świecie”, to na jakiej podstawie możemy tak powiedzieć? Zdaje się, że opieramy się jedynie na zestawieniu jej z własnymi przekonaniem na temat moralności, które – choć niekoniecznie zdefiniowane – były w nas, zanim poznaliśmy nauczanie Jezusa Chrystusa, które realizowane jest w pełni w chrześcijaństwie.

Można też doceniać naukę moralną Chrystusa na podstawie owoców, które przynosi w życiu doczesnym. Przykład wielu świętych pokazuje, że przeżyli oni swoje życie naj-

piej, jak było to możliwe, a udało im się to właśnie dlatego, że posłuchali Nauczyciela udzielającego im słusznych rad. Do zasad moralnych jednak, których przestrzeganie przynosi życiowe spełnienie, ludzkość na przestrzeni wieków byłaby w stanie dojść metodą prób i błędów, nawet bez Objawienia. Mimo że nasze intuicje nie zawsze bywają doskonałe, wydaje się, że właśnie prawo wypisane w sercu człowieka jest kluczowe przy ocenianiu słuszności nauki moralnej Chrystusa.

Przesłanie Chrystusa głupstwem dla człowieka?

W pierwszym Liście do Koryntian święty Paweł pisze jednak: „Człowiek zmysłowy bowiem nie pojmuje tego, co jest z Bożego Ducha. Głupstwem mu się to wydaje i nie może tego pojąć, bo tylko Duchem można to zrozumieć. Człowiek zaś duchowy rozsądza wszystko, lecz sam przez nikogo nie jest sądzony. Któż więc poznał zamysł Pana tak, by Go mógł pouczać? My właśnie znamy zamysł Chrystusowy” (1 Kor 2,14-16). Choć oczywiście zasadnym jest twierdzić, że część tego Ducha, o którym pisał Paweł, została udzielona przykładowo stoikom czy Konfucjuszowi, to jednak Apostoł wyraźnie wspomina o zamyśle Chrystusowym, czyli

mądrości Bożej będącej głupstwem dla człowieka. Tego typu mądrość wydaje się niemożliwa do osiągnięcia bez spotkania Chrystusa i przyjęcia jego przesłania moralnego. Sama śmierć krzyżowa jest przecież nazywana zgorszeniem dla Żydów i głupotą dla pogan (por. 1 Kor 1,23) ze szczególnym naciskiem na Greków, którzy są obrazem intelektualistów, trzeźwo i logicznie myślących filozofów.

Przesłanie Chrystusa głupstwem dla cywilizacji opartej o chrześcijaństwo?

Współcześnie jednak, po okresie 2000 lat działalności chrześcijan oraz niezliczonych świadectwach świętych i błogostawionych, żyjemy jako Europejczycy, których kultura została zbudowana w oparciu o chrześcijaństwo. Czy jakieś elementy nauki moralnej Chrystusa mogą być uważane przez nas, współczesnych Europejczyków, za głupstwo lub wręcz coś szkodliwego? Okazuje się, że tak! Choć sam jestem tym nieco zaskoczony.

Moje zaskoczenie jest dwójakiego rodzaju. Z jednej strony jest ono negatywne, gdyż ten fakt oznacza, że Chrystusowe wskazówki moralne wciąż są słabo rozumiane nie tylko przez niewierzących, ale również przez samych chrześcijan. Nie-



Źródło: unsplash.com

jednokrotnie chrześcijanie zupełnie tracą wiarę, gdy ktoś wykaże, że nauka Chrystusa jest głupstwem dla człowieka zmysłowego, jak pisał o tym święty Paweł. Pozytywny element zaskoczenia bierze się natomiast stąd, że zjawisko to doskonale wpisuje się w koncepcję świętego Pawła. Co więcej, niezrozumienie przesłania Chrystusa po tylu wiekach chrześcijaństwa sugeruje, że znajduje się w nim rzeczywiście Boża mądrość przekraczająca mądrość ludzką. Sprzeciwia się prostym schematom obyczajowym, lecz mimo to przynosi niesamowite owoce. Życiorysy świętych pokazują zaś, że jest możliwe wypełnianie moralnych nakazów Chrystusa, które najpełniej wyrażają się w przykazaniu miłości „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umy-

śłem. (...) Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. (Mt 22, 37-40) oraz w Błogosławieństwach wypowiedzianych w trakcie Kazania na Górze.

Świadectwo z polemiki

Tę Bożą mądrość, będącą z pozoru głupstwem, szczególnie odczułem podczas tworzenia polemiki ze „szczęśliwym nihilistą” – jak sam siebie nazywa – byłym chrześcijaninem, panem Karolem Fjałkowskim. Polemika ta składa się z sześciu około 25-minutowych filmików-komentarzy na YouTube na moim kanale *Sceptyczny Chryścjanin*. Komentowana jest tam mowa końcowa pana Fjałkowskiego z debaty pod tytułem: *Czy Jezus może być autorytetem?*

Podczas tej debaty ów właśnie nihilista ukazywał na wielu



Źródło: wikimedia.org

przykładach – mniej lub bardziej zasadnych – „głupstwa” nauczania Chrystusowego. Ciekawym jest tutaj fakt, że był on przez ponad 10 lat głęboko wierzącym chrześcijaninem. Wynika z tego, że albo w tym czasie nie rozumiał zbytnio kluczowych zagadnień chrześcijaństwa, albo nieuczciwie debatował, podając bezzasadne zarzuty i wiedząc jednocześnie, że takimi są. Wśród nich pojawiła się między innymi krytyka wezwania Jezusa do porzucenia swojego majątku i wyzbycia się troski o rzeczy niezbędne do życia (Mt 6,25-34; Łk 12,33 itp.). Zdaniem nihilisty trzeba wszak najpierw zadbać o swój majątek i dobro-

byt, aby móc promieniować dobrem i dzielić się nim z innymi. W formie pytania retorycznego prosił on też o podanie przykładowej osoby, która pozbyła się majątku i zaczęła owocnie służyć ludziom. Sugerował tym samym, że nie ma takich osób. Jednak życie wielu świętych, w tym mojego ulubione - brata Alberta, pokazuje, że jest możliwe wypełnienie Jezusowego wezwania.

Wspomniane wcześniej wezwanie Chrystusa nie jest proste zarówno do pojęcia, jak i wykonania. Historia chrześcijaństwa licząca 2000 lat mocno świadczy jednak o słuszności i możliwości realizacji Jego na-

uki moralnej. Nawiasem mówiąc, współcześnie również ciągle powstają nowe nurty takie jak minimalizm, zakładający uwolnienie się w pewnym stopniu od dóbr materialnych, czy świadomy kapitalizm nie dążący do zysku, ale działający z misji – analogicznie do tego, co mówił Chrystus w Ewangelii Mateusza.

Na kanale *Sceptyczny Chryścjanin* można znaleźć w formie znacznie bardziej szczegółowo rozwiniętej i omówionej zarówno zagadnienie poruszone w artykule, jak i wiele innych jemu podobnych. Serdecznie polecam zapoznanie się z nim. Kończąc, muszę jeszcze wyznać, że podczas polemiki z moim interlokutorem silnie odczułem niezwykłość, ponadczasowość oraz prawdziwie Bożą mądrość zawartą w Chrystusowych wskazówkach moralnych – i z tego powodu jestem panu Fjałkowskiemu bardzo wdzięczny.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Rewolucja Meiji i katolicyzm japoński do II wojny światowej



Marceli Hejwowski

Meiji-jidai, czyli „Epokę Świątłych Rządów”, rozpoczęli de facto Amerykanie, przysyłając flotę domagającą się otwarcia Japonii na kontakt handlowy ze światem (dotąd handlowali oni jedynie z Holendrami, na jednej, specjalnie wydzielonej wyspie). Sceptycznych Japończyków szybko przekonał mocny argument przybyszy z USA – zmasowany ostrzał przybrzeżnych miast. W 1854 roku rządzący Tokugawowie podpisali z komodorem Matthew Perrym tak zwany Traktat z Kanagawy, inaczej Traktat o przyjaźni i pokoju ze Stanami Zjednoczonymi.

To był początek końca shōgunów [wszystkie japońskie nazwy i terminy podaję w transkrypcji J.C. Hepburna, w wyrazach zadomowionych w polszczyźnie stosując końcówki fleksyjne – przyp. red.]. Grupy patriotycznych samurajów, zarzucających rodowi

Tokugawów nieumiejętne zarządzanie państwem, doprowadziły do oddania władzy cesarzowi Mutsuhito. Nie odbyło się to bezkrwawo, zwolennicy Tokugawów walczyli. Między innymi na kilka miesięcy oderwali Hokkaido od Kraju Wschodzącego Słońca. Dzięki wsparciu ze

strony Zachodu wojskom młodego cesarza udało się jednak opanować sytuację. Ostatnią przeszkodą na jego drodze do władzy okazał się Saigō Takamori, ważny dowódca wojskowy i jednocześnie bardzo ciekawa postać. Saigō sprzeciwiał się wyrzuceniu na bruk tysięcy

samurajów, którzy nie znaleźli pracy w nowym, zawodowym wojsku. Założył dla nich specjalną szkołę w Kagoshimie, która szybko stała się przytułkiem dla wszystkich niezadowolonych samurajów. Rząd wysłał wojsko, aby rozbroiło Kagoshimę, co z kolei doprowadziło do buntu, na którego czele stanął Takamori.

Światło rządu cesarza

Powstańców było około 40 tysięcy, wszyscy uzbrojeni na modłę europejską. W ostatecznym starciu, bitwie pod Shiroyamą („Shiroyama” znaczy „Zamkowa Góra”, bo znajdowały się tam fortyfikacje), walczyło jednak zaledwie 500 spośród nich. Gdy zabrakło amunicji, powstańcy dokonali ostatniej szarży, w której walczyli mieczami, łukami i włóczniami. Saigō i inni dowódcy zginęli.

Wydarzenia te pojawiły się w filmie Edwarda Zwicka *Ostatni Samuraj* z 2003 roku. Zespół

Sabatón w utworze Shiroyama śpiewał: „It’s the nature of time/ That the old ways must give in/ It’s the nature of time/ That the new ways comes in sin” („To natura czasu/ Że stare ścieżki muszą ustąpić/ To natura czasu/ Że nowe ścieżki rodzą się w grzechu”). I tak właśnie było.

Wojna domowa umożliwiła modernizację Japonii. Cesarz zadbał o wszechstronny rozwój gospodarczy, unowocześnił armię, rozpoczął budowę kolei... Jednocześnie odnowił w całym kraju shintō, dając tej politeistycznej religii przewagę nad buddystycznym zen. Przypominał swoim rodakom, że wedle wierzeń jest potomkiem bogów i bogiem (co utrzymało się aż do ludobójstwa w Hiroshimie i Nagasaki w 1945 roku – od tamtego momentu cesarzowie japońscy używają tytułu zaledwie potomków bogów).

Czy wierzysz w Matkę Bożą, czy masz żonę, czy znasz papieża?

Ojciec Bernard Petitjean MEP odprawił mszę świętą w Nagasaki. Po mszy podeszła do niego grupa Japończyków i zaczęła go pytać, czy utrzymuje celibat, czy wierzy w Maryję i czy jest w łączności z „Białym Ojcem”. Po otrzymaniu twierdzących odpowiedzi wyjawili, że też są katolikami. Byli to kakure-kirishitan, czyli ukryci chrześcijanie. Z podziemia wyszło wtedy około 60 tysięcy ukrytych katolików. Ojciec Petitjean powiadomił o tym papieża, który uradowany uczynił go biskupem Japonii. Obecnie jest kandydatem na ołtarze.

Otwarcie się Japonii na świat zewnętrzny oznaczało również ponowne przybycie misjonarzy. Początki nowej misji nie były łatwe, gdyż dopiero w 1873 roku oficjalnie zaprzestano prześladowań katolików. Sytuacja pozostawała trudna, ponieważ władze propagowały shintō. Wyznawców jednak wciąż przybywało, nawet pomi-



źródło: wikimedia.org



Kard z filmu *Dwie Korony*, opowiadającego o życiu i misji o. Kolbego.

źródło: youtube.com

mo utrudnień ze strony władz. Pewnym zaskoczeniem dla misjonarzy było częste przyjmowanie katolicyzmu przez samurajów, którzy wcześniej opowiedzieli się za rodem Tokugawów. Wielu z nich wyjechało potem na Zachód, aby studiować. Katolicy w Japonii skupieni byli przede wszystkim w Hiroshimie i Nagasaki. W Nagasaki w 1895 roku powstała katedra Urakami, zniszczona w wybuchu atomowym, a odbudowana w 1959 roku.

Polscy świadkowie międzywojennej militaryzacji

Po I wojnie światowej nasilił się nacjonalizm japoński. W jego atmosferze wyrastał na przykład pisarz Shūsaku Endō, twórca książki *Milczenie*, zekranizowanej parę lat temu przez Martina Scorsese. W 1930 roku

w podróż misyjną wyruszyło sześciu polskich franciszkanów: Zenon Żebrowski (pozostał w Japonii do końca życia, nadal uznawany tam za bardzo ważną postać, choć w Polsce zupełnie nieznany), Hilary Łysakowski, Zygmunt Król, Seweryn Dągis i Maksymilian Maria Kolbe. Była to inicjatywa „wariata Niepokalanej”, czyli Kolbego.

Początkowo misjonarze udali się do Indii i do Chin, jednak okoliczności sprawiły, że z Chin święty Maksymilian wraz z dwoma braćmi udał się do Japonii. Dzięki życzliwości lokalnej hierarchii katolickiej otrzymał ziemię na przedmieściach Nagasaki, na której powstał japoński Niepokalanów. Kolbe dostał również posadę wykładowcy filozofii w lokalnym seminarium. Franciszkanie uzyskali też pomoc w nauce języka japońskiego. Mimo licznych trudności, przykładowo związanych

ze zdrowiem Maksymiliana czy z jego przełożonymi, udało się ukończyć dzieło, którym był „ogród Niepokalanej”, jak nazywał się dosłownie japoński Niepokalanów. W Nagasaki polski święty czuł się jak w domu. W 1935 roku został jednak wezwany do Polski, z której miał już nigdy nie wrócić. Pozostawił jednak klasztor, który od 1940 roku był samodzielnym komisariatem misyjnym. Udało się też stworzyć japońską wersję „Rycerza Niepokalanej”. W Nagasaki utrzymywała się dość liczna grupa zakonników i ich podopiecznych. Należał do nich Zenon Żebrowski, zwany w Japonii bratem Zeno.

Niedługo miała się rozpocząć II wojna światowa, w której Japonia opowiedziała się po stronie Państw Osi. Decyzja okazała się straszliwa w skutkach dla Japończyków, również tych wyznających katolicyzm. Aż do tragicznego ataku bombowego dość liczna grupa wyznawców żyła, obserwując i być może przewidując, co niesie Japonii intensywna militaryzacja kraju.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: unsplash.com

Matka Boga wzorem kobiecości



Olga Wachowiec

Utarło się pewne przekonanie, stereotyp, że miejsce kobiety jest w domu. Innymi słowy, dobrą dziewczyną, kobietą czy też matką i żoną jest szara myszka, kura domowa, która często się na niczym, oprócz gotowania i sprzątania, nie zna, a jednym z jej najlepszych atutów jest bezwzględne posłuszeństwo mężowi. I choć ze współczesnym ruchem feministycznym niewiele mam wspólnego, bardzo chciałabym wierzyć, że te przekonania można już zaliczyć do mitów... Nie chcę oczywiście wrzucać wszystkich do jednego wora! Jednak sytuacje, których byłam świadkiem, pokazały mi, że wiele z wyżej wymienionych „zalet” kobiet jest wciąż na topie. Stąd właśnie wzięła się moja refleksja: jaką kobietą była Maryja? Co o Matce samego Boga możemy dowiedzieć się z Pisma Świętego? I czego my, kobiety, możemy się od niej nauczyć?

Próbując odpowiedzieć na te pytania, zapragnęłam skupić się na życiu Maryi, na jej czynach, słowach i otoczeniu oraz na tym, co ono o niej mówi. Zdecydowa-

łam się więc, że do odnalezienia wzorca kobiecości posłużą mi cztery Ewangelie i Dzieje Apostolskie. Samo zadanie, z pozoru łatwe (w końcu znalazłam tyl-

ko kilka fragmentów o Matce Bożej w wyżej wymienionych tekstach), okazało się znacznie trudniejsze, a niewielka ilość wzmianek o Najświętszej Pa-



Oddychająca z Bogiem

Cieężko jest, mówiąc o kobiecości Maryi, nie wspomnieć o jej więzi z Bogiem, jej zaufaniu do Niego. Ona była z Bogiem bez przerwy, i to w każdej postaci! Poczęła w końcu za sprawą Ducha Świętego i, ufając Bogu, urodziła Jego Syna. Co za tym idzie, Maryja nie dość, że była rozmodloną niewiastą posłuszną woli Bożej, była także tą, która chodziła z Nim za rękę, jadła z Nim posiłki, obmywała Mu potłuczone kolana i przytulała Go do snu... To nie była relacja niedzielno-święteczna. Od narodzenia, bez grzechu pierwotnego, Bóg bez przerwy był obecny w jej życiu, a po przyjściu na świat Jezusa Chrystusa ta obecność przyjęła nową formę. Sam anioł przy zwiastowaniu mówił do niej, że jest tą, z którą jest Pan. Myślę, że to jest poniekąd klucz do rozwikłania zagadki kobiecości Matki Boga. Maryja od samego początku współpracowała z łaską Stwórcy. A kto na nas, ludziach, zna się lepiej od Tego, który nas stworzył? Pan oczywiście przygotował tę kobietę do roli, jaką miała odegrać, więc można powiedzieć, że Maryi było łatwiej z Nim być, niż przeciętnemu zjadaczowi chleba. Jednak Ona nie zatrzymała tej relacji dla siebie. Niosła tę dobrą nowinę razem ze sobą, nawet i przez góry, jak

nienie wcale mi w tym nie pomogła. I myślę, że troszkę o to właśnie chodzi... Maryja, będąc kobietą, nie była otwartą księgą, z której, gdy nadejdzie ochota, można się wszystkiego dowiedzieć. Wręcz przeciwnie, była ona zdystansowana, pokorna, skryta i tajemnicza. I o nie – nie chodzi mi o to, że była tym typem kobiety, której mottem przewodnim jest hasło „domyśl się!”. Ona nie musiała trąbić o sobie na prawo i na lewo; ona po prostu była. Sama jej obecność stała się już czymś wyjątkowym. Szczególny był również fakt, że nie bała się zachowywać niektórych spraw w swoim sercu. Usłyszała, przemyślała i nie musiała

od razu biec do sąsiadki obok, by podzielić się najnowszą nowiną. Nie musiała „świergotać” na oko, choć patrząc na jej życie, zdecydowanie miałaby o czym opowiadać. Maryja potrafiła wyczuć moment, wiedziała, kiedy niektóre sprawy trzeba zachować dla siebie, a kiedy można się nimi z kimś podzielić. Ona potrafiła powiedzieć, co myśli, co czuje. Nie bała się ani zapytać anioła Gabriela o to, jak pocznie się Syn Boży, ani zadać samemu Jezusowi zagubionemu w świątyni pytania, co On tutaj robi. Maryja pozwoliła sobie w obu przypadkach na lęk, na smutek, ale też nie wpadała w panikę czy histerię. Ona po prostu była.

przy okazji wizyty u Elżbiety. Wydaje mi się zatem, że skoro kiedyś Maryja dzieliła się relacją z Bogiem z innymi, teraz robi dokładnie to samo. Co za tym idzie, jeśli jej jest łatwiej być ze Stwórcą, to czyż nam, ludziom, nie będzie jeszcze prościej być blisko Niego, skoro sama Maryja „rozgryza” poniekąd tajemnicę tej relacji, a swoją wiedzę dzieli się z nami i nam pomaga? Także dobrze jest wiedzieć, że w sprawach kobiecości Maryja też jest z nami. Wiedząc co i jak, może nam o tym opowiedzieć. Niebieska Pani, która chodziła za rękę z Bogiem.

Silna babka

Nie chcę, by to określenie Maryi zabrzmiało kolokwialnie, a mimo to uważam, że w ogóle nie mija się ono z prawdą. Przyznajmy się, która z kobiet, będąc już w ciąży, odważyłaby się nagle wybrać na około 150-kilometrowy „spacer” przez góry? Albo która z nas tak po prostu zdecydowałaby się urodzić w stajence, a później położyć swojego bobasa w talerz innych zwierząt (do żłobu)? Która Matka widząc, że jej syn zgubił się gdzieś w wielkim mieście, nie byłaby bliska zawału? Albo jeszcze dalej – która z nas przeszłaby drogę krzyżową swojego dziecka od początku aż do końca, a później czekałaby pod



Źródło: pixabay.com

krzyżem razem z nim na Jego śmierć? Maryja niezaprzeczalnie była niesamowicie silną kobietą. To nie były takie „ciepłe kluchy”, za które wszystko trzeba zrobić i które do niczego się nie nadają. Ona, tak jak św. Stanisław Kostka, rzeczywiście „do wyższych rzeczy została stworzona”. Uważam, że tego też my, kobiety, powinnyśmy się od Maryi uczyć – bycia tymi, które dadzą radę, które są silne, które potrafią, ale... nie zawsze muszą! I to też Maryja pokazała podczas cudu w Kanie Galilejskiej. Myślę, że ona bez problemu tę wodę w wino też mogłaby przez łaskę Boga przemienić, w końcu aktualnie jest pośredniczką wielu łask i cudów. A jednak nie robiła tego, nie tylko ufając swojemu Synowi, ale i wychodząc z założenia, że to nie ona musi się tym winem zająć. Nie za wszystko była odpowiedzialna. I o to przecież chodzi w życiu każdej z nas:

kobieta nie musi być tą odpowiedzialną za wszystko, nie musi być jedyną, która sprząta, gotuje, czy robi cokolwiek innego. Drogie panie, każdy człowiek ma swoje zadanie, więc z tego wynika też inna lekcja: nie tylko odpuśćmy, ale też pozwólmy innym działać.

Szczęśliwa

Maryja jest tą, która jest błogosławiona. Słowo „błogosławiony” z greckiego oznacza dosłownie „szczęśliwy”. Matka Boża nie bała się być szczęśliwą. Nie obawiała się także mówić o tym, że jej duch się raduje. Co nam to pokazuje? Chociażby to, że my, kobiety, też jesteśmy stworzone do szczęścia. Każda z nas ma inne powołanie, a droga z Jezusem, choć ciężka – uszczęśliwia, co też sama Maryja pokazuje! Uważam więc, że niezależnie, czy w kuchni przy garach,

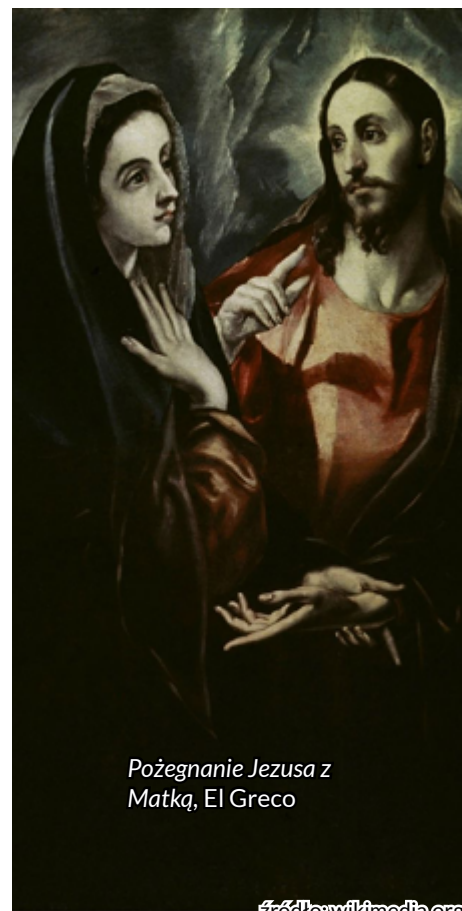
czy w pracy przy papierach, czy na placu zabaw z dziećmi, czy na scenie z mikrofonem – kobieta może robić to, co sprawia jej radość, i to, co czyni ją szczęśliwą. Kobiecość przecież nie jest ciągłym pasmem cierpień, poświęceń i wyrzeczeń. Tak więc jesteśmy powołane do szczęścia i ważne jest to, byśmy my same o tym wiedziały. Maryja była piękna i myślę, że jej szczęście odegrało tu znaczącą rolę. Uważam, że ona nie bała się być tą, która się uśmiecha, a przez to nie bała się być tą, która jest rozpromieniona.

Pełna zrozumienia

Myślę, że każdy z nas mógłby się od Maryi uczyć empatyczności i spostrzegawczości. Historia wina na weselu doskonale nam to pokazuje. Matka Boża szybko zdiagnozowała problem i zareagowała. Zrobiła to też bez zbędnego rozgłosu, bo w końcu mogła przecież „podać dalej”, że taka „gafa” się przytrafiła. Ona jedna, po zauważeniu, że skończyło się wino, przywołała swojego Syna, by szybko zaradzić tej sytuacji. A skutki jej szybkiej reakcji już wszyscy znamy. Myślę, że to pokazuje też, dlaczego o kobietach mówi się, że potrafią stworzyć z niczego niektóre rzeczy – najprostszym tego przykładem jest chociażby sałatka do obiadu. Kobiecość

jest spostrzegawcza, ale i pełna empatii, potrafi zaradzić trudnej sytuacji, jest kreatywna. Kobiecość potrafi radzić sobie w różnych sytuacjach, potrafi znaleźć rozwiązanie. Myślę, że zrozumienie Maryi widać też przy narodzinach Jezusa. Podejrzewam, iż niejedną kobietę by to rozniosło, że facet nie zarezerwował w porę dobrego hotelu i nie zorganizował żadnego innego przystępnego miejsca na nocleg. Matka Boża potrafiła jednak zauważyć, w jakiej sytuacji znalazła się ze swoim mężem i z jeszcze nienarodzonym Synem. Potrafiła też zagospodarować otoczenie, dostosować się do sytuacji, być elastyczna. Nie wiem, czy zrobiła wtedy z niczego jakąś sałatkę, ale wiem na pewno, że w miarę możliwości „ogarnęła” postanie dla swojego małego chłopca, przyjęła wielu gości i dodatkowo trzymała przez cały czas fason. A mogła się przecież obrazić, obrócić na pięcie i zafundować Józefowi „ciche dni”.

Maryja swoją osobą cudownie pokazuje, jak to jest być rozkwitającą kobietą. W tym krótkim tekście próbowałam odkryć tylko rąbek tajemnicy kobiecości. W końcu Maryja jest postacią nie do opisanie, więc tym bardziej krótki artykuł tutaj jest kroplą w morzu jej niesamowitości, a dodatkowo jej tajemniczość skrywa w sobie resztę



Pożegnanie Jezusa z Matką, El Greco

źródło: wikimedia.org

niedostępnego piękna. Mimo to uważam, że nawet w tych kilkunastu liniach tekstu widać, jakim przykładem i ideałem kobiecości była Maryja. A jak to jest ze wszystkimi ideałami: często nieosiągalne są czymś, do czego warto dążyć. I myślę, że to jest genialne wyzwanie: by być jak Maryja, by być jak Matka Boga.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*